Nr. 12. Lwów, Niedziela dnia 6. grudnia 1874 r. Rok I.

TYGODNIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

XI.

Ogródki Froeblowskie.

III. Z kolei rzeczy, wypada nam rzucić okiem na stosunek ogródka Froeblowskiego do rodziny.

Zbytecznem byłoby udowadniać, że na rodzinie, na rodzicach cięży obowiązek wychowywania dzieci, że jaką jest rodzina, takie dzieci, a jakie dzieci, takie społeczeństwo. W poprzednich uwagach nadmieniliśmy o tem—a tu dodać nam jeszcze wypada, że ten grzech wielki wobec najświętszych obowiązków, t. j. niedbałość w wychowywaniu dziatwy przesuwa się od lat, od wieków najdawniejszych, z pokolenia w pokolenie. Prawda, że objawia się tylko perjodycznie i to w smutnych dobach dziejów, gdy narody w wir destrukcyjny porwane, upadają, lub do upadku dążą moralnego.

Jeszcze Juvenal, w czasach upadku rzeczypospolitej rzymskiej, narzekał, że: „teraz oddaje się dziecko na wychowanie greckim niewolnikom, których do niczego użyć nie było można. Niewolnicy najgorszym są dla dzieci przykładem, a rodzice sami współzawodniczą pod tym względem z niewolnikami. Zdawać się musi, że zepsucia miasta i kraju, wradza się w dzieci."

Arcybiskup Fenélon, w wieku 17 narzeka na rodziców, że wychowanie dzieci powierzają nieudolnym kobietom najemnym.

Dziśby na to narzekać wypadało głośno, bo złe objawia się najlepiej w wykolejonych talentach, w złamanych zawcześnie umysłach, w niesposobnych do niczego głowach.

Zdarza się często, iż szczególniej ojcowie, fałszywą wiedzeni miłością własną, z góry powziąwszy, często najmniej racjonalny kierunek w wychowaniu dziecka, łamią jego samodzielność, wrodzony popęd do działania w kierunku, przez naturę dziecka wskazanym i narzucają mu działalność, wprost naturze dziecka przeciwną.

Doświadczenie nas poucza, jak nierozważni ojcowie wydzierają dziecku z ręki najmilszą mu zabawkę, n. p. książkę, lub ołówek i papier, uważając to za zgubne dla umysłu dziecięcego zajęcie. Jakaż to zbrodnia prawie wobec natury dziecka! Należało — widząc popęd do książki i ołówka, poddawać je dziecku wybrane starannie, a ołówkowi przyjść w pomoc wzorami dobremi.

Ogródek Froeblowski, tę ma największą wobec rodziny zasługę, że wyręcza nieudolnych rodziców w racjonalnem, przez naturę wskazanem wychowaniu, że przychodzi w pomoc ludziom pracy, którzy czasu nie mają na wychowywanie dziatwy.

Rozmaitość, jest hasłem przyrody. Nie ma dwóch jednakowych twarzy, dwóch liści zupełnie do siebie przystających, nie ma też dwóch dusz, dwóch charakterów, dwóch skłonności jednakowych zupełnie.

W dziecięciu, niemal w pierwszej dobie jego życia, objawia się ta odrębność, ta odmiana gatunkowa, jeżeli nam wolno posłużyć się tym wyrazem. Należy badać właściwości tejże, śledzić je pilnie i nie przeszkadzając naturze, nie kusząc się o przeinaczenie prawa Bożego, tym kiełkującym specjalnościom przyjść w pomoc, przez poddawanie im materjału stosownego, na którymby rozwijać się mogły.

Róża nie będzie tulipanem, tulipan różą. Dziwacznym byłby ogrodnik, któryby się kusił o amalgamę tych różnych od siebie kwiatów, tego się nie zdoła dokonać, a więc — ogrodnik podlewa każdy z nich w miarę tego, ile wilgoci który potrzebuje.

Kiełkująca w ziemi roślinka, pnie się do życia, stroi w barwy, wyrasta. Ten proces wzrostu, jest jej działalnością. Zwierzątko drobne, małe, jeszcze ssie matkę, a już rwie się do ruchu, do działania.

Działalność, to żywotność. Im więcej sił w dziecku żywotnych, im obfitsze skarby w duszy dziecka dłoń Boża złożyła, tem silniejszy będzie w nim popęd do działalności.

Działalność ta objawia się w dziecku pragnieniem zabawy. Inaczej być nie może. Ktoś nazwał dzieci małymi wandalami, dodaćby można, że to małe samoluby. Dziecko nie ma pojęcia o tem co pożyteczne, ale instynktem czuje, co przyjemne. Nie można żądać, by dziecko rwało się do działania pożytecznego, niech ono działa dla siebie przyjemnie, czyli niech się bawi, a gdy mu zabawę poddamy przyjemną dłań, a roztropną—to już i pożytek wypłynie z tego ogromny.

Wynika z tego, że zabawa ważną dla dziecka jest rzeczą, bo na niej kształcić się ono najpierwej zaczyna. Zabawa winna być zatem ujętą w pewien system, naturze dziecka odpowiedni, a roztropnie przez pedagoga kierowany. Przy urządzaniu zabaw, należy korzystać z nieustannego pragnienia dziecka, zajmowania się czemś, działania i odpowiadając temu żądaniu, starać się o ciągłe zajmowanie go przedmiotami budzącemi uwagę, ćwiczącemi pojęcie i pamięć.

Jakżeż to trudno dla rodziców, zwłaszcza mniej zamożnych, gdzie kłopoty domowe zatruwają usposobienie całodniowe goryczą, zdobyć się na to wszystko!

Dziecko zobaczywszy jakieś przedmioty i spamiętawszy je, zaczyna kombinować wrażenia na ich widok doznane i tworzyć z nich nowe. Jest to objawem budzącej się twórczości i samodzielności, które rozwinąć i umocnić, jest najpierwszym obowiązkiem wychowania. Ogródek Froeblowski, przez podanie stosownych i stopniowych materjałów, otwiera pole dla twórczości dziecka i umiejętnie nią kieruje.

Widzimy z powyższego, że wobec rodziny ogromne są zasługi ogródków, gdyż dziecku dają to, czego ona często mimo najlepszych chęci, dać mu nie może.

Ale jeszcze jedna, ogromna korzyść. W dziecku objawia się popęd do życia towarzyskiego. Dzieci szukają się, przestają z sobą uradowane, jeżeli wolno im być razem w liczniejszej gromadce. Przebywanie dzieci razem, pod okiem roztropnego, a bacznego na wszystko kierownika, ten z sobą przynosi pożytek, że dziecię uczy się zawczasu życia i użycia towarzyskiego. Dzieci w ogródku tworzą jakby jedną rodzinę i dla zachowania tej domowo-rodzinnej cechy ogródka, przełożona w nim nazywa się zawsze: ciocią. Zadaniem jej zastąpić matkę —

a dla tego kobiety bywają kierownikami ogródków, bo one najlepiej naturę dziecka rozumieją, więcej od mężczyzn mają cierpliwości i właściwą sobie tkliwością uczuć, łacniej, niż mężczyzni, pozyskać sobie pociąg dzieci zdołają.

Ta okoliczność odpiera zarzuty, tu i ówdzie podniesione, że ogródek zaciera w dziecku przywiązanie do rodzinnego ogniska, podając mu powaby, po za niem.

Kończąc tę pobieżną pogadankę o stosunku ogródków do rodziny, powtarzamy jeszcze, że są one dla niej dobrodziejstwem, dając dziatwie to, czego rodzina dać nie umie lub nie może.

SERCE I REKA.

POWIEŚĆ PRAWIE HISTORYCZNA

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Proszę cię Olimpjo, miej baczność na siebie... Zygmunt nie powinien nic wiedzieć, niczego się domyślać.... Tu idzie o twoje szczęście, o jego życie — powiedz to sobie....

Dla hrabiny Klary być wplątaną w tak zajmującą a osobliwszą intrygę było prawdziwem błogosławieństwem losu. Nudziła się tak okrutnie, a tu nagle spadały na nią obowiązki, zajęcia... nad które milszych wyobrazić sobie nie umiała. Nie wiem czyby własny romans tak jej był miłym — tyle ich już przeżyła i ze wstrętem zerwała!

Wirtuoz właśnie ochłonąwszy rozpoczynał grę, gdy Klara nie słuchając go wcale, zatopiła się w obmyślaniu środków posiłkowania przyjaciółce....

— Ja ztąd nie wyjdę — szepnęła Olimpja, — dopóki się nie upewnię iż widzieć go będę. Znam go — będzie się sądził natrętnym, niebezpiecznym dla mnie i mojego spokoju, gotów ujść, trzeba temu zapobiedz.... Ja się ztąd nie ruszę....

— Na Boga, miej rozum i spuść się na mnie Olimpjo, żywo poczęła mruczeć jej do ucha, podnosząc się Klara.... Zygmunt patrzy... Ty... ty niedoczekawszy końca koncertu odjedziesz do domu — ja zostanę.... Powierz mi swoją sprawę. Jeśli chcesz mi ją ułatwić — zabierz Zygmunta, poślij go gdzie, zrób z nim co chcesz, aby mi tu nie przeszkadzał i wszystkiego nie popsuł. — Jeśli odjedziesz, on się do mnie uczepi i wszystko sparaliżuje.... Ty — jedź... pozwól mu, każ nawet jechać, choć na koźle....

— Nie mogę się poniżyć kłamstwem, zduszonym głosem odpowiedziała Olimpja.

— Zgubisz się tą przesadzoną szlachetnością — kobieto — na miłość Boga i... tego twego muzyka cię zaklinam... rób co każę... rób co ja powiem, — inaczej krwawo się to może skończyć....

Olimpja zamilkła, znać było że się woli wyrzekła choć ze wstrętem.... Trio rozpoczęte słabo, w miarę jak artysta się niem rozgorączkowywał, z coraz większą szło brawurą.... Dźwięki tej znanej Olimpji muzyki działały na nią jak upajający napój.... Złamana podnosiła się, twarz oblewał rumieniec, oczy iskrzyły się, łono podnosiło niespokojne... zupełne przeistoczenie tej wpółmartwej postaci dokonało się w niewielu chwilach... Wracała młodość, życie i biło serce... Niedostrzeżone łzy odwilżyły spalone powieki.. Olimpia powstała z martwych niemal taką jaką była przed dziesięciu laty, gdy chciała umrzeć wraz z nim.

— Nadto na tobie widoczne wrażenie — poczęła przestraszona hrabina, Zygmunt może się czegoś domyśleć. Miarkuj się, zwycięż... a po sztuce jedź natychmiast do domu... Będzie to dla Zygmunta wytłumaczonem. Ja powiem żem cię namówiła przedtem, że muzyka wszakże widocznie ci szkodzi...

— Co mi Zygmunt? on, on mnie nie zobaczy i pomyśli że uciekam od niego, że widzieć go nie chcę... Ja odjechać nie mogę...

— Ja biorę na siebie wszystko, ja się do niego dobiję, ja go zabiorę... dodała hrabina natarczywo, słuchaj mnie lub za nic nie ręczę. — Wśród tych szeptów, grzmot oklasków oznajmił ukończenie tria. Wirtuoz wstał, szybko się skłonił słuchaczom ocierając pot z czoła i prędzej jeszcze zniknął. Olimpia zdawała się chcieć porwać i biedz za nim, ale hr. Klara nie spuszczała jej z oka. Nie tracąc jednej chwili dała znak stojącemu opodal Zygmuntowi aby się zbliżył, a widząc, że mu się docisnąć trudno, sama wybiegła przeciwko niemu.

— Panie baronie, zawołała — wyciągnęłam niepotrzebnie Olimpję na koncert, ona nie może znieść muzyki, ja nie chcę stracić reszty... Idź pan przodem (ręki jej nie podawaj) wyszukaj powóz i odwieź ją do domu. Mais soyez donc raisonnable, nie siadaj do powozu z nią, jest i tak podrażnioną... rozumiesz mnie... siadaj na koźle... Pozyskasz ją sobie tem postępowaniem, wierz mi — daję ci dobrą radę ..

Zygmunt słuchał i nie decydował się.

— Idź pan przodem! zawołała nakazująco — Olimpjo... popchnęła ją — pan Zygmunt ci wyjście ułatwi, jedź do domu.

Olimpja odwróciła się wahając — Klara była w takich razach despotyczna.

— Ale jedźże, proszę cię — jedź... ja cię proszę, ja każę... na co się masz męczyć, ja natychmiast przybywam...

Wstała więc Olimpia i skierowała się ku tłumowi, który widząc ją idącą i Zygmunta wołającego — place, pour une dame! rozstąpił się nieco... oczy wszystkich ją ścigały.

Tak wyszli powoli do przedsienia — Zygmunt roli swej obronić się nie mógł — pobiegł po powóz z hotelu des Bergues i znalazł go, dopomógł siąść milczącej Olimpji, a sam po krótkim namyśle skoczył na kozioł obok woźnicy...

Przykro mu było spełnić ten rozkaz, dziwnie... lecz Klara przestrzegła, uwierzył że ta dobrowolna pokora wywrze dobre wrażenie — chociaż Olimpia znalazła to tak naturalnem, iż mu za zasługę nawet znalezienia się tego nie policzyła.

Pani Klara nie straciła ani chwili wiedząc jaką na siebie wzięła odpowiedzialność; nie wychodziła nigdy z domu bez książeczki i ołówka. Na jednej z kartek napisała po francusku.

— „Dama znana panu Fratelli z Drezna, która go poznała mimo zmiany nazwiska, pragnie go widzieć. — Ostrożność wymaga pośrednictwa — w pierwszym rzędzie siedzi ktoś ubrany liliowo, z kwiatami lotusu na głowie.... p. Fratelli proszony jest aby z tą panią jak najrychlej się rozmówił. Nic jej nie krępuje.“

Z tą kartką wydartą z książeczki, od niechcenia się przechadzając, Klara zbliżyła się do orkiestry... Wybór jej padł na biednego starego, którego funkcją było bić w bęben, na czem pewnie zarabiać nie musiał.

Orkiestra spoczywała; zbliżyła się do niego z luidorem w ręku i karteczką.

— Kochany panie, rzekła mu cicho pokazując luidora — proszę go przyjąć za oddanie tej kartki panu Fratelli, natychmiast drugi luidor za odpowiedź..

Staruszek, któremu nigdy tak łatwo się nie trafiło zarobić sztuki złota, pochwycił kartkę i znikł drzwiami na prawo... Bardzo niespokojna hr. Klara chodziła dalej wzdłuż i w szerz przed orkiestrą. Szczęściem skończyła się była pierwsza część koncertu, a przed poczęciem drugiej zostawało dosyć czasu, by staruszek po luidora przygotowanego mógł powrócić... ale Klara wyglądała go długo naprożno.... Już muzycy zaczynali powracać na swoje miejsca wszyscy i nikogo oprócz wielkiego bębna nie brakło, gdy i on ukazał się wreście ocierając pot z czoła. Klara przysunęła się niecierpliwie wyciągając rękę z luidorem. Natomiast stary oddał jej wielkich rozmiarów kartę wizytową, na której pod nazwiskiem Signor Giovanni Fratelli dopisane były po francusku słowa:

— Czekam na rozkazy u wyjścia z sali od tej chwili.

Hrabina Klara, chociaż śpiewać miała znowu Patti, posunęła się chusteczką zasłaniając twarz ku wyjściu... Była sama jedna, ale śmiała jej postawa i głos wyjednały przejście wolne przez te tłumy. Zmiąwszy swą sukienkę, zmęczona znalazła się u wyjścia oglądając do koła.

Po długich na ramiona spadających białych włosach i uśmiechu smutnym poznała stojącego na uboczu Bratanka. Ubranym był tak jeszcze jak występował na koncercie... pochwyciła go żywo za rękę.

— Grasz pan jeszcze w tym koncercie? zapytała.

— Nie — rzekł artysta, antreprener nasz wprawdzie żądał po mnie czegoś, ale mnie jeden z mych towarzyszów zastąpi, nie mam siły...

Spojrzała na niego Klara bystro.

— Poznałeś pan Olimpję?

Fratelli zarumienił się.

— A, pani, mógłżebym ja jej nie poznać?

— Olimpja jest moją przyjaciółką, jest siostrą — ja wiem wszystko... Ona pana kocha... pan się z nią widzieć musisz... los szczęśliwy zbliżył was... Lecz nim pana zawiozę do mnie, musiemy pomówić i muszę objaśnić, wytłumaczyć... Siadaj pan ze mną do powozu i każmy jechać, gdzie chce woźnica...

Fratelli się zadumał...

— Nie śmiem panią o tak wielką prosić łaskę, rzekł, ale ja o trzy kroki ztąd mieszkam...

— Zatem idźmy? wszak ja pana nie skompromituję? zapytała śmiejąc się Klara.

Fratelli, a raczej Bratanek, gdy tak go odtąd nazywać będziemy—podał jej rękę... W istocie o pięć minut od koncertowego domu był hotelik w którym zajmował pokój i salon. W pośrodku niego stał piękny fortepian.... mnóstwo rozrzuconych nut i kilka pulpitów, świeżą tu odbyto próbę...

Bratanek podsunął fotel na który hrabina Klara padła cała wzruszona i przejęta tą przygodą.

— Pozwól pan, rzekła, ażebym go wzięła na spowiedź.... Kochasz ją pan? nie zapomniałeś?

— Po niej nie kochałem nic, oprócz sztuki, tej drugiej kochance winienem że żyję, rzekł spokojnie ale z głębokiem uczuciem Bratanek. Po katastrofie od której w ciągu jednej nocy włosy moje posiwiały — chciałem sobie życie odebrać. Sądziłem żem to winien jej i sobie. Zamknięto mnie do więzienia. Skarga matki i mściwe jej staranie zagrażały mi, jako winnemu gwałtu i porwania nieletniej kilkunastu latami carcere duro.... Proces prowadzony był staraniem i kosztem obrażonej matki, wyrok na mnie zdawał się nie uchronny.... Ludzie poczciwi ulitowali się nademną. Przeciągnęła się sprawa z powodu żeśmy uciekli z Saksonji, a proces sądzony był w Pradze.... Tymczasem ułatwiono mi ucieczkę z więzienia i pod obcem nazwiskiem do Włoch uszedłem... Rodzina biedna, której byłem nadzieją i podporą, utrzymała mnie łzami swojemi przy życiu.... Kazano mi ciągnąć dalej zatrute wspomnieniem błysku szczęścia lata... Jak żyłem — nie opowiem ci pani, żyłem niewiedząc nawet czy mam płakać po umarłej, czy boleć nad męczennicą.

Wstrzymał się chwilę i spytał chmurno:

— Nie potrzebuję abyś mi to pani mówiła — czuję że Olimpję zmuszono — że poszła za mąż....

— Posłuchaj pan, będę z nim otwartą— odpowiedziała Klara — a słowem uroczystem zaręczam i poprzysięgam, że powiem prawdę.... Olimpja kocha pana, a kocha tak jak gdybyście wczoraj się rozstali przy tych dwóch trumnach. Dziesięć lat opierała się ojcu i matce niechcąc iść za mąż, uważając słowo swe, dane panu za ślub święty, jego pierścionek za obrączkę weselną. Zmuszono ją przed kilkunastą dniami.

Bratanek chwycił się za głowę. Klara się rozśmiała.

— Czekaj pan, odezwała się, czekaj nim będziesz rozpaczał — tak jest zmuszono ją przed kilkunastą dniami pójść za mąż, ale wiesz jak? Starał się o nią młody, ubogi, nikczemny człowiek.... Przed ślubem Olimpja zawołała go i powiedziała mu wszystko.. i zaprzysięgła, że inaczej za niego nie pójdzie tylko aby być jego żoną imieniem, a twoją na zawsze.... Musiał do ślubu dać jej twoją obrączkę.... Mąż ten jest jej obcy... nie mówi do niego, pogardza nim. Od ołtarza odszedłszy nie dała mu się dotknąć ręki swojej.

Bratanek ukląkł przed Klarą.

— Pani, możeż to być?

— Zapowiedziała mu, ciągnęła dalej hrabina, że gdyby cię gdziekolwiek kiedy spotkała, wróci do ciebie, będzie twoją....

Uniesienie biednego człowieka było tak wielkie, iż chwycił kapelusz i chciał biedz.

— Ale stójże na Boga! nie szalej, bo popsujesz wszystko — odezwała się hrabina. Nie wiesz jeszcze nic. Możesz się domyślać że człowiek co idąc do ślubu przyjął tak upokarzające warunki, na wszystko jest gotów — aby obronić żonę, która dla niego przedstawia majątek i stosunki.... Ten mąż, któremu nie wolno wejść do jej salonu — jest tu. Jeśli się domyśli w was pierwszego kochanka jesteś życia nie pewny. Strzela jak Gerard....

Bratanek się uśmiechnął.

— Nie boję się!... zawołał.

— Tak, ale ja lękam się o Olimpję... trzeba postępować z największą ostrożnością. Olimpja czeka na mnie abym jej o was znać dała... ale wprzód nim pojadę — ułóżmy się jak postępować mamy.... Uczucie jej, rozbudzone obrzydzeniem dla męża jest tak gorące, tak bezwzględne, iż gotowa stracić głowę i popsuć wszystko — nie wiele więcej mogę rachować na pana... na mnie więc spada ciężar cały.

Wstała hrabina i gwałtownie, załamując dłonie, miotając się — poczęła się przechadzać po salonie. Bratanek stał oniemiały marząc o swem szczęściu.

— Nie — to sen! mruczał — to sen chyba — jam ją dawno w sercu mem pogrzebał. Ona żyje! my jeszcze możemy być szczęśliwi....

— Jeśli oboje mieć będziecie rozum — dodała hrabina — inaczej pan Zygmunt zabije lub — nie zaręczam by nie struł. Olimpja ma wstręt do kłamstwa i komedji a tu właśnie grać ją potrzeba.... Ja? potrafię — ale za was dwoje nie starczę.... Co tu począć?...

— Pani, zawołał chwytając ją za rękę i całując artysta — będę jej posłuszny — zrobię co każesz — ale teraz — zaklinam panią.. pozwól mi widzieć ją tylko... zobaczyć na chwilę....

Klara namyślała się.

— A! no! daj mi pan rękę, narzuć co na ramiona ażeby twe białe włosy nie zbyt były widoczne... chodź ze mną — do mnie... zobaczymy....

Niecierpliwy Czech nim dokończyła mówić podał jej rękę — chwycił kapelusz... obwinął się chustką czarną.... W ulicach było już ciemno... gdy wyszli, latarnie tylko światłemi pasami rozjaśniały gdzieniegdzie chodniki. Instynktowo wybrała Klara drogę, którą idąc jak najtrudniej poznanemi być mogli. Na wybrzeżu nadrodańskiem przechodziło wiele osób, bo wieczór był bardzo piękny.... Spodziewali się więc prześliznąć niepostrzeżeni do hotelu, gdy na paręset kroków przed nimi, Klara nagle postrzegła— wprost ku nim idącego z cygarem w ustach barona Zygmunta.

Chciała się rzucić w bok, ażeby go uniknąć i przycisnęła mimowoli rękę Bratanka oznajmując mu, by się miał na ostrożności — ale już było za późno. Zygmunt postrzegł ją i poznał, a zobaczywszy że idzie z mężczyzną, przez samą złostkę pospieszył ją przywitać. Widział na twarzy Klary pomięszanie i gniew — to go bawiło właśnie. Klary jednak na długo zbić z tropu i pozbawić przytomności było trudno.... Nie straciła odwagi tylko na przelotną chwilę.... Gdy Zygmunt podniósł kapelusz ażeby ją powitać szydersko, śmiała się już z wybornie odegraną obojętnością.

— Prezentuję panu baronowi — rzekła spiesznie, mojego dobrego przyjaciela, z którym w Medjolanie poznałam się w roku przeszłym — il Signor professore Fratelli... talent hors ligne, znakomitość europejska.

— A! a! zawołał kłaniając się szydersko i mierząc go oczyma Zygmunt — a! charmé! I dokądże państwo idą?

— Na przechadzkę... mamy z sobą tyle do mówienia o wspólnych znajomych... i o wspólnie nam ukochanej muzyce, bo ja teraz szaleję za muzyką.

— Nie wiedziałem — odezwał się Zygmunt... trochę ironicznie.

— C'est comme ca! dopowiedziała Klara.... A pan — dokąd?

— Ja — szepnął Zygmunt, szukam jakiejś dawnej znajomości i czegoś w czem bym mógł się tak zakochać jak pani w muzyce.... Idę bez celu....

— Pan wiesz że podróże bez celu, są rzeczą w świecie najroskoszniejszą — c'est l'inconnu. Nie chcemy panu przerywać tej podróży odkryć....

To mówiąc Klara lekko mu się skłoniła. Bratanek który stał jak na mękach domyślając się w tym wstrętliwym jegomości męża Olimpji, odetchnął gdy nareszcie rozeszli się.

— To on! szepnęła mu po cichu Klara.

— Przeczułem to... niezrozumiale wyjąknął Bratanek.

— Znając człowieka, kończyła hrabina— jestem przekonaną że szpiegować nas będzie, nie żeby się czegokolwiek domyślał, lecz aby mieć przyjemność prześladowania mnie potem. Musimy być ostrożni....

Obejrzała się.... Zygmunt szedł w kierunku przeciwnym zdając się na nich nie zwracać uwagi.

— Ale ja panią skompromituję! zawołał Bratanek.

Klara się rozśmiała.

— Ja jestem wdową, wolną i nie lękam się żadnej w świecie kompromitacji, bo o nią nie dbam wcale.... Siadajmy do powozu, choć jesteśmy o kilka kroków od hotelu... to go zbije z tropu.

Stało się jak Klara rozporządziła. Zygmunt który w istocie po niejakim czasie zawrócił się aby śledzić przyjaciółkę żony, zobaczył tylko oddalający się powóz... i nie chciał sobie zadawać pracy ścigania go. Uśmiechnął się pogardliwie ruszając ramionami. Szedł dalej podśpiewując i ziewając na przemiany, a rozmyślając nad wpływem jaki jego znalezienie się wywrze na uczucie Olimpji, gdy naprzeciw ukazał się pan Major Redke....

— Jakto pan nie na koncercie? odezwał się z bezwstydnością prawdziwie godną podziwu.

— Bilety któreś mi pan dał — były fałszywe! rzekł Zygmunt.

— A! a! a! fałszywe! bilety były fałszywe! niegodziwcy! Ale ja znam tych co

*

mi je sprzedali — pozwę... to sprawa kryminalna. Masz pan te bilety?

Zygmunt machnął ręką pogardliwie i chciał go pożegnać — lecz Majora zbyć się nie łatwo było.

— Za pozwoleniem — zawołał wstrzymując go — tak się rozstać nie możemy — Dzięki Bogu... noszę imię nieposzlakowane i chcę je czystem utrzymać! Samo posądzenie, cień, pozór już mi jest nieznośnym. Pan mi musisz pomódz do zdemaskowania oszustów.

— Sprawa tego nie warta....

— Dla pana, ale dla mnie — gardłowa! gardłowa! powtórzył Major — nierozumiem, nie chcę tego rozumieć inaczej.

— Dajmy temu pokój — rzekł Zygmunt obojętnie...

— I nie słyszałeś pan Fratellego, tego artysty, który wyżej pójdzie od Liszta....

— Owszem, słyszałem go, alem wyszedł z koncertu, dla zbytniego gorąca... a Fratellego spotkałem przed chwilą.

— Gdzie?

— Tu... właśnie... z pewną damą....

— Szczęśliwy do dam pomimo swych siwych włosów! lgną do niego, mówił Major usiłując widocznie przedłużyć rozmowę. Pan słyszałeś jego historję?

— Nie — rzekł obojętnie Zygmunt....

— Tych siwych włosów dostał on nagle, jednej nocy.... Różnie o tem rozpowiadają... że się kochał w bardzo dystyngowanej panience którą uwiódł, a gdy mu ją rodzice odbierali z rozpaczy w kilka godzin osiwiał jak go pan widzisz. Drudzy utrzymują że kogoś zabił i zgryzota w więzieniu go ubieliła.... Jabym jednak przysiągł iż pierwsza historja musi być prawdziwą...

(C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

Sewera...

III.

(Ciąg dalszy.)

Henryk Clifford pracował w osobnym pokoju. Zobaczywszy mnie wyprostował się, zbladł, i stanął nieruchomie.

— Korzystając z towarzystwa pana Woodward — odezwałem się pospiesznie — przyjechałem umyślnie prosić pana, abyś mógł zapomnieć i nie wspominać o komicznym wypadku dnia wczorajszego; roztargnienie moje....

— Ser — podbiegł do mnie Henryk ściskając mi rękę — ser usprawiedliwiasz się jeszcze mimo mego brutalstwa i napaści.

— Ośmielam się jeszcze raz powtórzyć moją prośbę, — wina nasza jest wspólna.

— Nigdy na to nie przystanę,—w tej chwili sprawiedliwie oceniam mój postępek.... Zkąd panowie przyjeżdżacie?

— Z Londynu, — odrzekłem.

— Z domu twej siostry, dodał pan Woodward.

Henryk zarumienił się. — Z domu mej siostry — rzekł z goryczą, a więc z wyżebraną łaską przebaczenia przyjeżdżasz ser do mnie — czyż nie lepiej....

— Sądzę — przerwał pan Woodward — że się mylisz. Dżentelmen przyjechał z propozycją zgody, a że w tej propozycji przypomina ci mimowolnie twoje obowiązki, to już nie jego rzecz.

— Serdecznej zgody — dodaję — z tem stanowczem zapewnieniem, że gdybym wczoraj znajdował się był na miejscu pańskiem być może uczyniłbym to samo.

— W takim razie przyjmij ser, moje przeproszenie, a rumieniec na mej twarzy niech mówi za mnie, o ile się czuję winnym.

— Zatem zadośćuczynienie zupełne, jakie powinno nastąpić między dwoma rozumnymi dżentelmenami — rzekł sekundant zgody. — I w tem miejscu, wznawiam pierwotną propozycję zapomnienia o wypadku, który w obecnej sytuacji nie ma innej wartości, jak tylko komiczną.

Z kolei rzeczy zwiedzamy fabrykę podmorskich telegrafów, w której pracuje dwa tysiące robotników. W tym właśnie czasie kończą linę telegrafu europejsko-brazylijskiego.

Chcąc dobrze się zorjentować trzeba zacząć od początku.

— Już zaczyna nudzić! zawołają moje czytelniczki zmęczone towarzystwem księdza proboszcza, wielką polityką papy dobrodzieja, a gderaniem mamy.

Domyślam się o co wam chodzi, moje piękne męczennice ciepłego pokoju, ciszy wiejskich i pieszczot rodziców. Czy Henryk będąc awanturkiem był także pięknym mężczyzną? Powiem wam pod jednym warunkiem, jeżeli mi w paru słowach pozwolicie skreślić tę fabrykę, choćby dla taty, aby mógł opowiadać i imponować sąsiadom swoją wszechstronnością.

— Mów, tylko prędko!

Dziękuję. Jeden drut elektryczny dość gruby, miedziany, obok niego jedenaście cieńszych drutów, obwiniętych gutaperchą na szerokość cala. Tak przygotowany ładunek ujęty jest w dwanaście na długość położonych drutów żelaznych, trzeciej części średnicy cala, nareszcie wszystko szczelnie raz przy razie okręcone sznurkiem i oblane smołą. Oto lina podmorskiego telegrafu przeznaczona spoczywać na głębokości dna morza. — Skończyłem, a dotrzymując przyrzeczenia, stanowczo oświadczam, że Henryk jest bardzo przystojnym mężczyzną, smagławej cery, a przy niej białe zęby, małe wąsiki, ciemne duże oczy i gęste czarne włosy.... Czyż jeszcze mało? a teraz pozwólcie mi dopowiedzieć....

— Ani słowa więcej, tata będzie miał już dosyć tematu na cały wieczór. Nasz ojczulek jest szlachcicem polskim, zatem ma bardzo dużo fantazji; resztę sam sobie dośpiewa.

— Jakto, nie pozwolicie mi opisać przyrządu kółek, za pomocą których lina dostaje się wprost z fabryki na okręt, ani umyślnie na ten cel zbudowanego okrętu, na którym Dora ma mieszkać dwa miesiące?

— Nie, to nas nic nie obchodzi.

— Ani nawet jak dowcipnie układają liny telegraficzne na okrętach jak motki jedwabiu?

— Dosyć, dosyć!

— Ani jednego wyrazu?

— Ani słowa!

— Ani słowa? kiedy tak, to wracamy do Londynu — Tamizą w chwili przypływu morza. Wzburzone fale rzeki, parciem wód morskich, cofają bieg wody. Malutki śrubowiec zaledwo wystarczający na 50 osób, mknie lotem jaskółki, podobnie jak ona muskając wodę skrzydłami. Henryk Clifford robił mi honory jak panującemu kapitan na okręcie, chcąc zatrzeć ślady wczorajszego przykrego wrażenia, oraz aby mi złożyć dowody szlachetnego obejścia i dobrego wychowania. Mister Woodward patrzył na nas dobrotliwie i radośnie przysłuchując się naszej rozmowie, jej żywości i swobodzie przy zmianach przedmiotu. Henryk wypiękniał w moich oczach, prezentując się jak dzielny, pełen rozumu i hartu młody człowiek, a co do mnie, mam nadzieję, że nie zasłużę więcej w jego oczach na kąpiel z piwa. Dobijamy do Waterlo-bricz, — kierując się ku restauracji pod złotym pawiem; mister Woodward pokazuje nam drogę.

W sali jadalnej czekał na nas wesoły dżentelmen, — a widząc mnie wchodzącego razem z Henrykiem. — Co, zgoda? — zawołał; — protestuję przeciw wszelkiej zgodzie, — lub w przeciwnym razie, muszę być wynagrodzony za czas stracony.

— Kiedy i jak? — zapytałem — przedstawiając Henryka dżentelmenowi, a dżentelmena panu Woodward.

— Postanowiłem niedopuścić do pojedynku na szpady lub rewolwery, poprostu dlatego, że żal mi było dwóch młodych ludzi, ale ponieważ myślałem, że bez rozprawy nie obejdzie się, boksy zatem powinne były rozstrzygnąć o naszych losach, a na mnie, jako na sekundanta, przypadł obowiązek zastąpić cudzoziemca. Rano więc wstawszy, poszedłem do jednego ze znajomych mistrzów tej sztuki, aby sobie przypomnieć ruchy i nabrać wprawy....

— To było zbyteczne — przerwał Henryk, — gdyż ja jestem słaby bokser, bez rozwagi, zapalający się szybko, dlatego zawsze bywam pokonywany.

— Ćwiczenia nigdy nie są zbyteczne, — odpowiada dżentelmen lecz wyobraźcie sobie moje zdziwienie.... szlachetny profesor pisał! Co, ty piszesz, i nie ma trzęsienia ziemi? „Ser, odpowiada mi — piszę, bo wydaję dzieło w moim przedmiocie, pod tytułem — S z l a c h e t n a s z t u k a b o k s o w a n i a s i ę (The Noble art of Boxing) przez jednego z bokserów rycerzy“. — Dżentelmen rozdaje nam prospekt tego dzieła.— —Rzuć pióro na godzinę i wstań dla mnie. „Ser — woła — nie mogę tego teraz uczynić, muszę przygotować punkta, które będą rozbierane na dzisiejszem posiedzeniu a na które cię zapraszam. Jeżeli zaś chcesz użyć rozrywki i wprawy, oto zawieszony gutaperkowy materac, okładaj go, ile ci się podoba.“

— I ser pracowałeś?

— Przez dwie godziny i albo mi zato grubo zapłacicie, albo musicie wypić z dzikim kolonistą butelkę szampana.

— Z kolonistą? ser należysz do kolonij,— zawołał Henryk — jakże to szczęśliwie, — bo oto masz przed sobą jednego z opiekunów. Pan Woodward jest urzędnikiem w ministerstwie kolonij.

— Nadokuczaliście nam podczas ostatniej wojny z Aszantami — zwrócił rozmowę mister Woodward do dżentelmena.

— Ciekawy jestem, kto komu więcej nadokuczał.... A to nieszczęście z tymi opiekunami. Im mniej opiekunów tem dzieci zdrowsze, a rozumniejsze, gdy radzić same o sobie muszą.

— Dokuczaliście nie dlatego, aby wam nasza łagodna opieka była przykrą, z której zawsze umiecie korzystać, gdy chcecie pokazać waszą dumę angielską, — ale jedynie dokuczaliście nam przeciągając wojnę.

— Czyż warto było dla pozbycia się kilkunastu tysięcy sztuk broni przedłużać kampanję o trzy miesiące? — zapytał pan Woodward.

— Więc chcieliście zostawić cały zysk mściwym, gburowatym Jankiesom, ssącym prymkę presbiterjanom, którzy nas wszędzie prześcigają, wszędzie zastępują drogę? Choćbym miał sam na plecach nieść broń z Londynu do Aszantów, tobym ją niósł, aby nie dać nieść Jankiesom.

— Szlachetne współzawodnictwo, któreby w całym blasku zajaśniało wtedy, gdybyśmy mogli Jankiesom naszą broń w ich własnym domu sprzedawać.

— Czyż jesteśmy w stanie, gdy Jankiesy wszędzie nas podkopują? — My wyrobimy jakąkolwiek drogę pracą i kapitałem. Jankiesy tuż depcąc nas po piętach włażą za nami, — podlicytowują, jednem słowem spychają nas. Nie nas, na Boga, ale spychają ze swych stanowisk Anglję! Jankiesy zajmą za lat dziesięć nasze targi w Europie. A cóż na to nasi opiekunowie i parlament?

— W takim razie będziemy musieli sprzedawać taniej, produkować lepsze towary, — lub zaniechać produkcji jednych, a podnieść wyrób drugich artykułów.

— I to tylko dlatego — wołał zapalając się dżentelmen, — aby się przypodobać Jankiesom, aby unikać Jankiesów, aby im ustąpić, — a gdzież jest honor Anglii? — Czy ser jesteś wig?

— Tak jest, — odparł pan Woodward — jestem wigiem i zwolennikiem wolnego handlu.

— I ja nie jestem thorys, lecz muszę szanować ich ambicję i dbałość o godność narodową i dlatego przy ostatnich wyborach agitowałem za thorysami, aby poszarpany przez wigów honor Anglji podreparować. I ja jestem zwolennikiem wolnego handlu, ale nie z Jankiesami.

— Zasada wolnego handlu jest jedna dla wszystkich.

— Zgoda, ale wprzód należy upokorzyć Jankiesów, zniszczyć ich i zamknąć.

— Lubisz pan ser? — przerwał Henryk.

— Każden prawy dżentelmen lubi go po objedzie.

— Na targu londyńskim dzisiaj ser en gros stoi 4 peny za funt Zniszczmy Jankiesów, a za ten sam funt, będziemy musieli płacić 2 szylingi.

— A któżby chciał ich stada wybijać i pastwiska palić! — zniszczyć Jankiesów, to znaczy zamknąć ich. My sami możemy na miejscu od nich kupować, co dobrego mają i sami to przywozić.

— Oto stuletnie dzieje polityki angielskiej, — powiedziałem.

— Jędrnej i racjonalnej polityki narodowej, polityki o byt, o przyszłość, aby nasze dzieci nie umierały z głodu na stosach wyrabianych produktów.

— A ja wznoszę toast, — zawołał Henryk — na cześć wolnego handlu, przez który Anglja zwyciężać i wzrastać będzie!

— Chętnie spełniam tu toast — poparł pan Woodward.

Po gorącej rozprawie i spiczach bez których nie może się obejść najskromniejsza uczta w Anglji, rozmowa przeszła do potocznych spraw. Dżentelmen mówił nam o sprycie i zmyślności dzikich, ubarwiając opowiadanie wesołemi anegdotkami; Henryk o przygodach przy zakładaniu podmorskiego telegrafu, a pan Woodward słuchał, pobudzał do rozmowy i rad milczał.

Henryk zaproponował herbatę u siebie. Dżentelmen spojrzawszy na zegarek, zdziwił się, że czas tak szybko przebiegł, a przepraszając za konieczność opuszczenia rzekł:

— Wyobraźcie sobie panowie, że mistrz mój podpisujący się rycerz-bokser, wydając swoje znakomite dzieło, utworzył komitet, któremu powierza najtrudniejsze pytania w przedmiocie swej sztuki do rozstrzygnięcia. Przeglądałem program jest jedno ważne pytanie: Jakim sposobem boksujący się dżentelmen może się ustrzedz od otrzymania razu podbijającego oko — oraz podbijania oka przeciwnikowi. Wyobraźcie sobie panowie, co to za niewygoda dla dżentelmena mieć podbite oko, a jak się to u nas często zdarza.

Spojrzałem mimowolnie na Henryka; — on zaś zarumienił się i spuścił oczy.

— Przyznam się panom, ja mam sposób uchronienia naszych dżentelmenów od tej klęski, za pomocą moich senegalskich pchnięć i takichże samych zasłonień. Jadę więc na posiedzenie, aby przedstawić w naturze moje pchnięcia, obronić je i polecić napisanie o tem rozprawki.

— Sprawa pozbawiająca dżentelmenów posiadania podbitych oczów, jest ważniejsza, od przyjemności widzenia go w naszem towarzystwie, z której na rzecz ogółu, robimy ofiarę — rzekł pan Woodward.

— Bo czyż nie mają na to 24 żeber? — zapytał się prosząco dżentelmen.

— Powinno wystarczyć — dodałem.

— Nie zapominaj ser o swoim starym przyjacielu — zawołał do mnie dżentelmen wskakując do keb'a, a myśmy powrócili na statek, który nas wysadził obok domu Henryka i jego siostry. (C. d. n.)

FRANCJA DZISIEJSZA

POD WZGLĘDEM LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Rzecz dla „Tygodnia" napisana

przez

F. PICARD'A.

(Ciąg dalszy.)

II.

LITERATURA WOJENNA.

Od dwóch lat wiele pisano we Francji o wojennej kampanji z 1870—1871 roku. Jenerałowie, dyplomaci i mężowie stanu, wmięszani w to straszliwe starcie, na podobieństwo Cezara opisywali swoją kampanję, lub misję polityczną. Każdy starał się zrzucić z siebie odpowiedzialność i stać na straży swego honoru. Są to cenne dokumenta dla historyka, który w przyszłości spisywać będzie bezstronine dzieje tej katastrofy.

Podamy tytuły tych dzieł i rozbiór ich w kilku wierszach.

La première armée de la Loire, przez jenerała Aurelles de Paladine; *Orléans*, przez jenerała Martin de Palhvés; *La guerre en province*, przez p. Freycinet; *Le siège de Metz*, przez marszałka Bazain'e; *La deuxiéme armée de la Loire*, przez jenerała Chanzy; *L' Empire et le siège de Paris*, przez jenerała Vinoy; *La marine au siège de Paris*, przez admirała La Roncière le Noury i t. d.

Streszczając te prace, znajdziemy w nich jeden punkt, pod względem którego wszyscy autorowie są zgodni. A mianowicie, że odpowiedzialność ciąży naprzód na niedbalstwie i szaleństwach cesarstwa. Czując się naciskanem przez rewolucję, cesarstwo pospieszyło wypowiedzieć wojnę dla uratowania dynastji. Podobne ono było do nędznika, który skazany na śmierć, sam sobie życie odbiera. W opowiadaniach wojennych naczelników, których wymieniliśmy, widzimy zapisane same tylko porażki, począwszy od początku kampanji. Jest to kampanja 1806 roku, której uwieńczeniem była Jena, tylko że teraz przeciw Francji zwrócona. Ten sam naród, który od czasów Cezara uchodził za najbardziej wojowniczy, teraz uczuł się złamanym w swej potędze i dumie.

Cesarstwo pada i przy odgłosie wrzawy sedańskiej rodzi się republika. Wtedy rozpoczyna się druga część tej ponurej tragedji narodowej. Opowiadania, które posiadamy, stosują się raczej do tego nowego okresu, kierowanego inicjatywą osobistą i indywidualną. Dla czego jenerałowie zwyciężeni przed 4. września starają się usprawiedliwić? Jeden tylko naczelnik był odpowiedzialnym—cesarz. Bazaine pisał, ponieważ trzymał się jeszcze, gdy już zaszło słońce cesarstwa. Mac-Mahon, na którym wszakże nie mało ciąży, milczał. Ladmirault milczał. Jenerałowie salonowi, dowódcy z przedpokojów zachowali milczenie. Cesarz napisał kilka wierszy ogólnikowych — i legł w grobie.

Literatura militarna zatem traktuje tylko wypadki, które zaszły od 4. września. Tu przedstawia się pytanie: czy należało poddać się po Sedanie, tem drugiem Waterloo, straszliwszem niż pierwsze? Gdy Juljusz Favre (ob. jego sprawozdanie) powrócił z Ferrières i dowiedziano się o wymaganiach zwycięzcy, honor francuski mówił: nie! Powiodłszy wzrokiem dokoła, widząc że Strasburg, ten klucz Francji, trzyma się jeszcze, że Metz jest blokowany, ale zatrzymuje przy swych murach dwakroćstotysięcy Niemców, że twierdze północne czekają na nieprzyjaciela, Paryż chwyta za broń po za swemi wałami. Jeszcze można było opierać się, być może zwyciężyć i nie dopuścić rozczłonkowania Francji. Nastąpiła rewolucja. Nowa republika nienawidząca cesarstwa, chciała naprawić popełniony błąd i czuła, że podoła temu, czerpiąc siły w swym entuzjazmie. Jedynym rządem, jaki wówczas istniał, była deputacja Paryża, widząca jak w stolicy najeża się dwakroćstotysięcy bagnetów. Takie przechody od upadku na duchu do poświęcenia, abnegacji i odwagi są w charakterze Francuzów.

Więc rząd obrony narodowej podniósł rękojeść miecza Francji. Opór został postanowiony. Złożyć broń, czyż nie znaczyło to narazić nietykalność terytorjum po miesięcznej walce? W takim razie naród zdradziłby samego siebie.

Paryż decyduje się na oblężenie i stolica ta bastjonami opasana, z ludnością wynoszącą dwa miljony dusz, obozujących w pośród swych pomników, przedstawia jeden z najdramatyczniejszych i najzaszczytniejszych ustępów wojny. Techniczne relacje pp. Trochu, Vinoy i Favre'a zaniedbały malowniczą stronę tej nowej sytuacji. Paryż miał dwóch nieprzyjaciół: Prusaków i głód. Wysilenia rządu przeciw oblegającym były słabe, ale zaszczytne. Pozwolono ludności uzbroić się, wyćwiczyć, umundorować i wnet wszystkie tak sprzeczne z sobą żywioły klas społecznych znikły pod jednostajnością munduru i wobec wiary patrjotycznej. Skończyło się na wyczekiwaniu. Zrobiono wprawdzie kilka wycieczek, lecz nie

umiano zużytkować żywiołu rewolucyjnego, przeważającego w Paryżu i zamiast rzucić na Prusaków ten plebs, na który Bismark zapatrywał się jak na swego pomocnika, irytowano go odkładaniem i nieufnością. Dnia 30. października wystąpiły na jaw niczem nie dające się zaprzeczyć protestacje oburzonego patrjotyzmu; było to pierwsze wystąpienie ludzi pewnego stronnictwa, podnoszącego sztandar rewindykacji. We trzy miesiące potem Paryż został wydany. Trzeba czytać w jakich wyrazach p. Favre opowiada, ze łzami w oczach, drugą swoją podróż do Bismarka.

Jenerał Trochu napisał swe dzieło z powodu oszczerczego procesu, który wytoczył dziennikowi Figaro. Jest to zatem skarga i usprawiedliwienie. Zanadto rozszerza się on nad zobowiązaniami jakie zaciągnął względem cesarstwa, oświadcza, że spełnił swą powinność do końca i sam sobie nadaje patent zdolności i czystego sumienia. A jednak jenerał Trochu właśnie z powodu samej sytuacji miał rolę do odegrania. Była to fizjonomja oryginalna, żołnierz wykształcony, obdarzony wyobraźnią, ujmujący w słowie i posiadający w armji właśnie to co było wówczas bardzo cennem, reputację niezawisłości, którą utworzył sobie dziełem: *L' armée française en 1867*. Skłonny nieco do mistycyzmu i dewocji, miał jednak strony pociągające, podobające się ludowi i wiodące do popularności. Po wojnie, zasypany zarzutami, zapomniany, sam sobie dał patent na niełaskę, podając się do dymisji jako deputowany zgromadzenia narodowego. Od owego czasu dokoła tej osobistości zapanowała zupełna cisza.

Paryż oddzielony od świata; trzech starców wysłano do Tours dla reprezentowania rządu. Gambetta przybywa do nich potem jako wysłannik Paryża. Wojna w prowincjach uorganizowała się z żywiołów prawie niemożebnych, miała zaś dwa cele: stawić czoło nieprzyjacielowi i wyswobodzić Paryż.

P. Freycinet mówi wiele o dziełach i czynach Gambetty. Nie można nie przyznać młodemu trybunowi jednego z tych darów, które czasami tworzą cuda. Natchniony wspomnieniami pierwszej republiki, odgrywał niechętnie rolę komisarzy, których konwencja wysyłała do armji stawiących czoło napastniczej Europie. Ale Francja zmieniła się. W r. 1792 miała ona dzielność rewolucyjną; w r. 1870, tylko co wyzwoliwszy się od cesarstwa, ludzie zapomnieli o poczuciu patrjotycznem; wieśniak, posiadacz ziemi, wolał zadowolić nowego minotaura poświęcając cośkolwiek, dla uratowania większej części. Usposobienie zatem prowincji było złe. Były wszakże chwalebne usiłowania. Ale jak tu oprzeć się tej inwazji metodycznej? Nieprzyjaciel miał we Francji czternaście korpusów wojska i zajął dwadzieścia pięć departamentów. Jenerał Aurelles de Paladine opisał rolę, jaką odegrała pierwsza armja Loary, jej przygody pod Orleanem i nadzieje przełamania linji pruskich, by iść pod Paryż.

Opowiadanie jenerała Chanzy ma w sobie pewien odcień dramatyczności. Styl jego jest poprawny, swobodny i dobitny. Nikt nie miał tyle co on nadziei i tyle rezygnacji po klęsce. Bezustannie reformując swój korpus, opierając się na każdym kroku, miewał on chwile powodzenia.

Jenerał Faidherbe był to oficer dystyngowany, umysł pracowity i zastanawiający się, czego złożył dowody w Algierji i Senegalu. W dziele swem dał on dość żywe opowiadanie o kampanji północnej, której wszelkiemi ruchami kierował. Znalazł on sposób zgromadzenia około czterdziestu tysięcy ludzi. Położenie armji jego było szczególne; zmuszoną ona była sama myśleć o sobie, pozostawiona własnym środkom, oddzielona od reszty Francji przez inwazję i osłonięta kilku tylko fortecami północnemi. Faidherbe zrozumiał, że musi naprzód poprzestać na niepokojeniu nieprzyjaciela nie próbując akcji decydującej. Niejakie powodzenie zaraz w początku dodało otuchy wojsku. Ham został odebrany Niemcom. La Fère był zagrożony. Zaniepokojony Manteufel zażądał posiłków. Faidherbe opisuje bitwę pod Pont Noyelles, którą Niemcy nazwali bitwą pod Hallac; świetnie wypadła ona dla broni francuskiej, chociaż koniec pozostał wątpliwym. Potem nastąpiła bitwa pod St. Quentin będąca ostatnim obrazem tego wojennego dramatu.

Wogóle wskutek fatalności, wynikającej z braku przewidywania w wojennych naczelnikach cesarstwa, nieprzyjaciel opanował linję Marny, Aisne i Oise. Niemcy mogli zająć tyły fortecom północnym, zajęli Wogezy, tę naturalną granicę Francji. W kilka tygodni można było przypatrzeć się dziwnemu widowisku: armja cesarska w niewoli—powstają inne armje; Chanzy na Loarze i Sarcie, Bourbaki na Zachodzie, Faidherbe na północy. Przez ten czas Paryż, odosobniony a groźny, wyczekuje wyswobodzenia po za swemi linjami najeżonemi żelazem.

Połowiczne wysilenie Francji republikańskiej niepowiodło się. Strasburg i obronne punkta Alzacji padają, Metz poddaje się z armją.

Nakoniec Paryż ulega z kolei i pociąga za sobą ruinę kraju, zdradzonego przez fortunę. Paryż jednak uratował honor wojenny Francji.

Do wojennych dokumentów, które wyliczyliśmy i streścili, dodać trzeba ogromny tom wydany przez komisję zgromadzenia narodowego pod tytułem: *Commission d' enquète du 4 septembre*. Jest to bezładny zbiór zeznań, ułożony z oburzającą stronniczością.

Tu należy zatrzymać się. Niepodobna pisać jeszcze bezstronnych dziejów wydarzeń, które nastąpiły później. Druga rewolucja, 18. marca, dziś jeszcze komentowana jest zbyt namiętnie. Potrzeba czekać aż czas uspokoi uniesienia i każdemu wydzieli jego część odpowiedzialności. Dzieła dotyczące tego ostatniego obrazu, które się dotąd pojawiły, są liczne i same mogłyby utworzyć bibljotekę. *Le rapport de la Commission d' enquète* jest to traktat, napisany przez zwycięzców komuny. Niech nieprzekupny dziejopis usunie potwarze, zarzuty, złość i powie prawdę. Tego wymaga honor Francji. (C. d. n.)

NOWELLA

Z POD SŁOMIANEJ STRZECHY

napisał

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

(Dokończenie.)

— Ja pójdę w świat matulu. Zarobię dużo grosza to i z Basią się ożenię i wam lepiej będzie na świecie.

— Boska we wszystkiem wola, ale mnie serce powiada, że to nie dobrze ci Franek poradził; to nic dobrego mój synu, on poniewierał swych ojców, przez niego pomarli. Z takim niema Boga.

— Ludzie to choć co sobie wymyślą, ta i gadają. Gdybyście Franka poznali, tobyście dopiero widzieli, jaki dobry z niego chłopiec. Zarobek wielki; pracować będę poczciwie, Bóg da zdrowia, to i przyniosę niemało pracy do domu. Kupię wam krowę matulu i przyodziewę i nie będziemy biedować i Basię mi dadzą.

— O mój Piotrusiu! o moje ty złoto — mnie serce powiada, że to źle będzie. — Basia poczciwa dziewczyna, ale skoro ci jej starzy dać nie chcą, toś nie ułomek, żebyś już innej nie znalazł. Każda będzie szczęśliwa, jak ją zechcesz. A zarobku i tu nie braknie. Trzeba zawsze ludzi do kosy, do cepa, do sierpa. Na strawę i przyodziewę zarobisz, a mnie tam i tak niedługo już na tym świecie, zawadzać ci nie będę, byle tobie dobrze było.

— Nie mówcie tak matulu, bo serce mi pęknie z żalu. A nie turbujcie się o mnie, bo mi nic złego nie będzie. Muszę iść w świat, bo jabym bez Basi żyć nie mógł.

Spłakała się matka — i Piotruś zapłakał. Pobłogosławiła go w drogę — a on wziął bochenek i osełkę masła, zwinął węzełki i poszedł.

* * *

Na rozstaju pod figurą klęczała Basia. Przyszedł Piotruś, ukląkł przy niej i jeszcze raz się żegnali.

— Jabym żyć nie mógł bez ciebie Basiu.

— A na co mi życia bez ciebie.

Słońce okryło się chmurą — wrony zleciały na pole, zaczerniały na zagonie, wiatr powiał zimny i deszcz upadł wielkiemi kroplami.

— Będę pracował przez lato i jesień i na zimę się najmę do jakiej roboty, byle tylko zarobić jak najwięcej, a jak wrócę, będziesz moja.

— Będę twoja — jak Bóg w niebie.

— A na Boże Narodzenie to przyjdę do matuli, to przyjdę do ciebie.

— Niech cię Bóg prowadzi.

Zaturkotały koła, Franek trzasnął z bicza, podjechał — pod figurą stanął i zawołał wesoło i śmiał się, że aż wrony krakały.

— Uściskajcie się raz jeszcze, bo to na bardzo długo się żegnacie. Ale za to jak Pietrek wróci, będzie weselisko. Ciesz się Pietrku, jak wrócisz, Basia będzie twoja.

— Pojechali. Wiatr silniejszy zawiał, chmury rozpędził, słońce błysnęło złociście — Basia stała pod figurą i patrzała za nimi, za wozem, za pyłem na drodze, za śladem kół, za wydeptaną trawą, gdzie Piotruś klęczał, zalała się łzami, padła na kolana i modliła się znowu. Przed oczyma coś jej błysło. Nachyla się, patrzy — to medalik Matki Boskiej Tuchowskiej, a przy nim szkaplerz związany. Piotrusiowi spadły z piersi — źle mu Basia zawiesiła, a może w uścisku ostatnim zerwała mu z szyi.

Gdyby biegła, nie dogoni. Boże — żeby nie było z tego co złego!

Łzy ją zdławiły, krew zbiegła w serce, i ciemno było jej w duszy, jakby słońce nadziei w niej zgasło.

* * *

— Możeby tu we wsi zanocować, bo i konięta zmęczone i droga niepewna.

— Dobrzeby to było Pietrku — ale jeszcze dobrych kilka mil do Tarnowa, a na rano pszenica być musi. — Pojedziem pomału, byle jechać, a tam za lasem jest dobra karczma, wypijemy po kieliszku — i konie przegryzą..

— Jak twoja wola mój Franku.

— Wio, wio — wista!

Jadą, minęli wieś, już tylko zdaleka słychać jak psy zaszczekają u kołowrotów — a czasem zawyją żałośnie.

Wjechali w las gęsty. Rożek księżyca i gwiazdy świeciły na niebie, lecz nawet nie mogą zaglądnąć do lasu, bo drzewa gałęziste, gałęzie gęsto się splatają. Ciemno.

— Siądź Piotrku na przodzie, weź lice, ja sobie tymczasem nałożę fajkę i poszukam krzesiwka.

Piotruś siadł, wziął lice i jedzie:

— Wio, wio — hetta! — A myślał o starej matuli, o Basi i śmiała mu się dusza radośnie, gdy wspomniał sobie, że dużo zarobi, że kupi krowę matuli, że z Basią pójdzie przed ołtarz.

— Cóż Piotrku? będzie Basia twoja?

— A będzie z łaski Boga.

— A jak ja nie zechcę?

— Ej, cóż bo znowu gadasz?

— A bardzo się cieszysz, że będziesz miał Basię? co? — Ona cię bardzo kocha?

— O! strasznie — ona by żyć bezemnie nie mogła.

— Zobaczymy!...

* * *

W Boroniawie płakała matka Piotrusia, bo serce miała niespokojne za dzieckiem, płakała Basia ukradkiem, bo i żal jej było, że go nie widzi i czarno jej było w duszy, że medalik i szkaplerz znalazła pod figurą.

Franek powrócił i śmiał się — ale jakoś inaczej jak przedtem. Ludzie się dziwili, że często do karczmy zaglądał, a Herszko się cieszył, że zawsze wziął za tyle półkwaterek, żeby się niemi dwóch nawet upiło, choć Franek nigdy się niemi nie upił.

Mijały tygodnie, miesiące. Żniwa minęły, jesień nadeszła. Stara matula wypłakała oczy — zaniemogła — Basia jej gotowała i zioła i klejek i rosół z gołębia; nic nie pomogło. Jakoś na sam dzień zaduszny zerwała się niby zdrowa poszła do kościoła i na cmentarz, a tam zaniemogła i w chwilę zasnęła na mogiłkach.

Basia mizerniała, smutniała. Czegoś jej coraz straszniej robiło się w duszy, a na Franka patrzeć nie mogła.

Franek przychodził jak dawniej, chociaż niby to pozbył się myśli żenienia.

— Ja już nie dla Basi, a Basia nie dla mnie. Powiedziałem przyjacielowi, że mu w drogę nie wejdę — i jak tylko Piotruś wróci, sam pomogę do wesela.

— Cóż robić, gdy już tak Bóg chciał — a Basia tak za nim obstaje, to niech mu Bóg da wrócić szczęśliwie — a i niech się pobiorą;— mawiała Małgorzata, a stary Koźma dodawał:

— Obiecał Basi, że przyjdzie na Boże Narodzenie. To go już nie puścimy i na zapusty sprawimy wesele.

— A mnie kupicie tatusiu nowe buty i sukmankę? pytała wesoło Marysia.

— Kupię ci, kupię, żebyś sobie i ty jakiego Piotrusia znalazła.

— Będziemy hulać na weselu, aż się dach zawali; żeby tylko Piotruś nie znalazł tam sobie jakiej innej Basi — dogadywał Franek. — Jak zarobi dużo, przebierze się w mieście w panicza — ta i może nie wróci już do wsi.

* * *

W Boroniawie, w chacie Koźmy gwarno, ludno. Wszyscy, jak przed rokiem zasiedli do wieczerzy. Mróz wielki — toż ogień na kominie się pali. Wigilja Bożego Narodzenia, jak przed rokiem. Jakoś nie wesoło, choć Franek śmieje się i zabawia. Piotrusia nie widać, staremu Koźmie markotno, Małgorzata nierozmowna — Basia zapatrzyła się w obraz Matki Boskiej Tuchowskiej, ściska na piersi szkaplerz Piotrusia, krew jej się zbiegła do serca — czarno jej w duszy, jakby w niej słońce nadziei zagasło. Nawet wesoła Marysia zapomniała o nowych butach i sukmance.

— Wyjdź Basiu z garnuszkiem i łyżką, trza pamiętać o wilkołakach.

Wyszła Basia z garnuszkiem i łyżką.

— A hu, a hu! — Wiatr zachuczał — i zgubił jej słowa.

Pobiegła po za drugi węgieł:

— A hu! a hu!

Z po za sadu wysunęła się biała postać. Głowa u niej przecięta, krew spływa po śniegu.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — zawołała Basia.

Skrwawiona postać podniosła rękę — wskazała na chatę, na serce, na głowę.

— Boże! Piotruś! — Tyś mój, jam twoja i w grobie. — Basia pobiegła do sadu — bo jej się zdało, że krwawą postać obejmie, uściska.

— Wracaj Basiu, bo zimno — zawołała Małgorzata wybiegając z chaty.

— Może Basia znowu z wilkołakiem, — zawołał Franek za plecyma Małgorzaty.

— Matusiu — to on, Piotruś, patrzcie — idę z nim zaraz. Boże! bądźcie zdrowi. Już mnie nie ujrzycie — o — ja nieszczęśliwa!

Podbiegła Małgorzata do córki, przybiegł i Franek — chciał chwycić Basię za rękę — nagle zwróciła się Basia i zawołała:

— Zbójco! zamordowałeś go! Niech Bóg, ani ludzie nie mają zmiłowania nad tobą!

Krwawa postać zbliżyła się do Franka i zdało mu się, że słyszy głos Piotrusia: „Niech Bóg cię skarze nie za mnie, lecz za nią i za moją matkę.“

Małgorzata nie mogła córki utrzymać, Basia zsunęła się w jej ramiona:

— Idę z tobą! wyrzekła i padła u nóg matki.

Po chwili już tylko ciało Basi leżało na tapczanie przy nieskończonej wieczerzy. Franek znikł.

Nie było wesela, był pogrzeb z chaty Koźmy w Boroniawie. Złożono Basię obok starej Piotrusia matuli.

* * *

Minęła zima, wiosna nadeszła a smutek nie odlatywał z pod słomianej strzechy. Franek od owej nocy stracił rozum, jak ludzie mawiali. — Skakał, śmiał się, chodził na polankę do lasu i wołał:

— Zobaczymy! zobaczymy!

Gospodarstwo upadło — pozdychało mu bydło, bo nie miał kto pilnować — a ludzie różnie o tem gadali, że to może i naprawdę zabił Piotrusia, a za to mu Pan Bóg rozum odebrał.

I znowu nadeszła wigilja. W chacie Koźmy smutno było — a koło chaty błąkał się Franek, przystanął za węgłem i patrzał do sadu.

W sadzie dwie białe pokazały się postacie, — jedna z głową rozkrwawioną — a druga z wiankiem mirtowym na skroni.

Franek chciał uciec, lecz nie mógł, jakaś siła przykuwała go do miejsca. Postać krwawa wskazała mu ręką drogę i poszła naprzód wraz z drugą, a za niemi szedł Franek powolny rozkazom. Szli długo, daleko — aż w lesie stanęli na owej drożynie, na której to Franek miał fajkę nałożyć.

Na prawo od drogi — głęboka przepaść, że ledwie zejść można. Franek tam zeszedł, grzebał rękami śród śniegu, ułamał gałęź grubą i kopał nią w ziemi — a potem coś wydobył, zawinął w swój kożuch i poniósł na plecach. A białe postacie szły przed nim.

Na Boże Narodzenie dzwonią, lud spieszy do kościoła — a stary Koźma i Małgorzata i Marysia po nabożeństwie idą na cmentarz na mogiłkę Basi.

Na progu cmentarza coś leży.

— To Franek!

— Nieżywy.

Idą na Basi mogiłkę i starej matuli, a między niemi leżał trup Piotrusia z rozciętą przez pół głową.

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

W bardzo opłakanym stanie zastałem szwadron — ludzi było blisko 200 po większej części samych galicjanów, między nimi dosyć szlachty, zresztą oficerów prywatnych, lokajów, furmanów, nawet trzech aktorów ze Lwowa. Oficerów 3ch tj. Szumlański Tytus, niegdyś kadet wojska austrjackiego, Chłopicki porucznik z Podola już niemłody, trzeci, któregom nazwiska zapomniał, przysłany na instruktora z pułku strzelców konnych gwardji, strasznie ograniczony, i nadzwyczajny próżniak, w gwardji był tylko podoficerem. Był jeszcze czwarty porucznik Bielański, stary żołnierz napoleoński z krzyżem legji honorowej, najgodniejszy człowiek pod słońcem ale słabowity; zrobiono go płatnikiem, którą to służbę najsumienniej wykonywał. Podoficerów było ze 20tu, ci wszyscy w oficerskich surdutach ze srebrnemi dragonkami chodzili, bawili się, w karty grali, i żadnemu służba przez głowę nie przechodziła. Koni było wszystkiego 37 — nikt ich nie ujeżdżał, bo nie pooddawane nikomu, stały jak na jarmarku w dwóch stajniach. Jakem to wszystko zobaczył, strach mnie objął i pomyślałem: co z tym fantem robić? Na drugi dzień rano dałem rozkaz, żeby się cały szwadron na rynku zebrał dla przeglądu. Wyszedłem wcześnie na plac, czekałem godzinę, nikt nie przyszedł. Poszedłem do kwatery, zły, przeczuwając największe nieprzyjemności.

Wtem wchodzi do mnie podoficer Sarnecki i kilku innych. — „Panie kapitanie — powiada — żałujemy bardzo tego, co się stało, ale my nie możemy być posłuszni jego rozkazom, gdyż jako wolni obywatele, którzy przyszli służyć ojczyźnie, nie możemy, i nie chcemy być pod komendą narzuconego nam komendanta, tem bardziej, żeśmy z pomiędzy siebie wybrali dowódzcą szwadronu, pana porucznika Szumlańskiego i pod nim tylko służyć będziemy“. To tak zupełnie nowe dla mnie i niespodziewane oświadczenie w bolesny śmiech mnie wprowadziło. Odpowiedziałem: „że przybywszy tutaj z rozkazu Naczelnego Wo-

dza, spodziewałem się zastać żołnierzy, a nie jakąś amatorską ruchawkę, że widząc z kim mam do czynienia, najmilej mi będzie, jak najprędzej opuście Staszów, posławszy poprzednio mój raport o stanie i usposobieniu w jakim ten się szwadron znajduje do generała dywizji Weisenhoffa do Kielc, i czekać będę na dalsze jego rozkazy. Tymczasem żegnam panów". Wychodząc oświadczyli mi, że natychmiast wyjedzie ich kilku z Szumlańskim do Kielc i sami generałowi postanowienie swoje oświadczą.

Po ich wyjściu i po objedzie u moich gospodarstwa, przyszli znowu do mnie inni podoficerowie, zupełnie przeciwnego wyobrażenia, ubolewając nad obłąkaniem tej zuchwalej młodzieży, i ofiarując gotowość do służby, ale ja nie chcąc się kompromitować, zasiadłem do napisania raportu, i natychmiast zaniosłem tę ekspedycję na pocztę i sztafetę do gen. Weisenhoffa wysłałem. Ubrawszy się elegancko, kazałem osiodłać konia i z płatnikiem, szanownym porucznikiem Bielańskim pojechałem do Kurozwęk, gdzie mieszkała hrabina Sołtykowa, o której już dawniej słyszałem, z wizytą.

Kurozwęki, miasteczko liche, ale w dość ładnem położeniu, należało do p. hrabiny Sołtykowej z domu Rudnickiej, niegdyś zapewne bardzo ładnej, a dziś bardzo miłej i przyjemnej osoby. Miała ona dwie córki, starszą pnę Emilię, słuszną, dość przystojną, bardzo grzeczną i wykształconą osobę, która później poszła za p. Pawła Popiela dzisiejszego konserwatora pomników narodowych w zachodniej Galicji, młodszą pnę Anielę ładną, żywą i bardzo czułą panienkę z wyrazistemi oczami i zachwycającą rozmową. Koledzy moi, którzy stali w Staszowie i Kurozwękach i tam się organizowali, po większej części kochali się w tych pannach, i ja byłbym zapewnę w tę samą popadł słabość, żeby nie to, że wyjeżdżając na wojnę, już byłem zaręczony z pną Klementyną K* z którą po powrocie, daj Boże zdrowo z wyprawy, miałem się żenić.

Po zaprezentowaniu się tym paniom, które umiały prowadzić zajmującą konwersację, byłem wkrótce jako między dawno znajomemi, i zostałem na objedzie, który panie te jadały około 6ej wieczór. Że czas był bardzo piękny, więc wyszliśmy na spacer do bardzo ładnego parku, otaczającego pałacyk w guście dawnego zamku zbudowany; po pod sklepieniem którego, szybka płynęła rzeczka, przechodząc przez kwadratowy dziedzińczyk w środku zamku i wpadając w dużą kamieniem ciosowym ocembrowaną, okrągłą sadzawkę, a z tamtąd płynąc wiła się po ogrodzie po pod kilkoma gustownemi mostkami. Chodziliśmy rozmawiając najmilej dość długo po tym prawdziwie uroczym ogrodzie; wtem dano znać, że goście przyjechali, i spotkaliśmy się z nadchodzącym hrabią Józefem Wodzickim, dawnym p. Sołtykowej przyjacielem, który przyjechał z synem Henrykiem, młodziutkim oficerem kwatermistrzowstwa. P. Wodzicki, któregom dawniej we Lwowie widywał, „avec son air de grand segneur był nader miły w towarzystwie; konwersacja naturalnie ożywiła się bardzo po ich przyjeździe — poczem obiad, bardzo dobry, oraz parę kieliszków wybornego wina przyczyniły się do ożywienia rozmowy. Po obiedzie powiedział mi p. Wodzicki, że już słyszał w Krakowie od Ks. Henryka o mojem wysłaniu do Staszowa, z czego się książe bardzo cieszył. Ja mu zaś opowiedziałem moje dziwne trybulacje z niesfornym szwadronem; zachęcał mnie, żebym uzbroił się w cierpliwość i czekał rezultatu mego raportu do Weisenhoffa. Długośmy jeszcze najmilej gawędzili; aż po herbacie, jak księżyc zaszedł, pożegnawszy całe towarzystwo, i siadłszy na konie pojechaliśmy do Staszowa. Przed wyjazdem, prosiła mnie uprzejmie hrabina Sołtykowa, żebym ile możność co dzień do nich na obiad przyjeżdżał — co też solennie obiecałem.

Na drugi dzień nie mogłem być w Kurozwękach, bom oczekiwał odpowiedzi od gen. Weisenhoffa, w wieczór nadeszła; deputaci szwadronowi wrócili ze spuszczonemi nosami, i nie pokazywali się, aż rano dopiero zameldował mi podporucznik instruktor, że szwadron zebrany na placu, czeka na moje rozkazy. Bez najmniejszej przedmowy, wziąłem się z instruktorem do podzielenia go na plutony i zaraz pieszą mustrę rozpoczęliśmy. O konnej nie można było jeszcze myśleć, bo koni było bardzo mało, a siodeł i rynsztunków jeszcze mniej i to nie kompletne. (C. d. n.)

KONANIE.

(Agonie)

z Sully Prud'homme „Les Solitudes."

I.

Gdy będę konał, gdy się przesili
Byt mój tułaczy,
Nie mi nie mówcie w przedśmiertnej chwili,
Zamilczcie raczej.
Każcie muzyce, by mi coś grała
Cicho, powoli,
Na skrzydłach dźwięków, Bóg duszy z ciała
Wybiedz pozwoli.
I może, może, w grobową ciszę,
W spokój po świecie —
Smętna melodja mię ukołysze
Jak do snu dziecię.
Dość mam słów ludzkich, dość już, zaiste
Fałszu w nich sporo.
I wolę dźwięki, co bardziej czyste,
Za duszę biorą.
I wolę dźwięki, co mniej dobitne,
Więcej zamglone —
Niosą ją bujać w kraje błękitne,
W marzenia stronę.
Gdy będę konał, gdy się przesili
Byt mój tułaczy,
Nie mi nie mówcie w przedśmiertnej chwili,
Grajcie mi raczej!

II.

Piastunce mojej, starej niebodze
Niech z was kto powie:
By przyjść zechciała, gdy z świata schodzę,
Do mych wezgłowi.
By przyjść zechciała na moim grobie
Nucić żałośnie —
Jako nuciła dziecięcej dobie,
Dni moich wiośnie.
Wy ją znajdziecie. Pod wiejską strzechą
Żyje się tyle!
A mój byt nędzny przebrzmi jak echo,
Przebrzmi za chwilę!
Jedyne serce wierne mojemu
Bije w jej łonie;
Niechaj więc przyjdzie dziecięciu swemu
Ulżyć przy zgonie.
By zapomniała dusza znękana
Dolę macochę;
By mogła wrócić do swego rana,
Odpocząć trochę;
Bym nie przeklinał w ostatnim jęku,
Z losem się zgodził;
Niechaj tak umrę u niej na ręku,
Jakem się rodził!

Gdy będę konał, gdy się przesili
Byt mój tułaczy,
Nic mi nie mówcie w przedśmiertnej chwili,
Och! milczcie raczej!

Naśladował
J. S. Chamiec.

MOJE ŁZY.

(Mes larmes)

z A. Glatigny. „Les reveries."

Łzy moje ciche! Nie chcę ja się wami
Jak innych wielu z całym dzielić światem;
Tego, co duszę dręczy, szarpie, plami,
Nie chcę na deski stawić przed widzami,
Ni komedją, ni dramatem!

Czym cierpiał? Może. Wszyscyż cierpią pono?
Rzadkim wyjątkiem wcale się nie mienię!
Com i jak cierpiał? Jaki cios w me łono,
Karą niesłuszną spadł, czy zasłużoną,
O tem Bóg wie i sumienie!

Czyliż dla tego, iż w niezdolnem ręku
Wierszokletniczy dzierżę czasem statek,
Czyliż dla tego w piosnek moich dźwięku,
Z każdego piersi westchnienia a jęku,
Światu składać mam podatek?

O nie! Bynajmniej! Bolów mych spowiedzią
Prócz Boga chyba, nikomum nie dłużny —
I z suchem okiem stojąc przed gawiedzią
Hardy, pomiatam litości jej miedzią,
Nie chcę współczuć jej jałmużny!

Nie chcę, nie proszę! I jeśliby kiedy
Lira, dum moich gwałcąc tajemnicę,
Baśnią ją ludzkiej zrobiła czeredy...
Bez żalu - z wzgardą, cisnąłbym ją wtedy,
Jak niewierną miłośnicę!

Łzy moje rzewne! Płyńcie, lecz w cichości
Samotnych nocy, ciemną, głuchą chwilką.
Twarz wami zlana, dla obcych, dla gości,
Niech się natychmiast uśmiechem wyprości,
Wyście nie ich — moje tylko! —

Naśladował
J. S. Chamiec.

POGADANKI.

XII.

Tkwi to jeszcze zapewne w pamięci pilniejszych czytelników gazet, jak srodze niedawno „Przegląd Polski" obszedł się z publicystyką krajową w ogóle, w szczególności zaś z lwowską. Oprócz osobistych przytyków do tego i owego pisarza, górował tam zarzut, iż dziennikarze demokratycznego pochodzenia bez wszelkiej racji i podstawy miotają się w sposób namiętny i przewrotny na wszystko, co było i jest świętem, poważnem, czci i miłości godnem, iż nie szanują honoru współobywateli, ale porwawszy go, jak czarownica miotłę lub łopatę, wypraw iają na nim łysogórskie hecki. Autor tej filipiki w szlachetnem swojem uniesieniu zanosił apelację do „Królowej Opinji" i jak kapłan pogański swojemu bóstwu, otwierał jej perspektywę na mnogie obiety i żertwy, jeżli położy tamę temu zgorszeniu, w przeciwnym zaś razie groził, iż na nią spadnie wszelka odpowiedzialność i szkoda. Jakkolwiek gromy te i zaklęcia padały z wysokości kilkutysięcy stóp ponad linją śnieżną i z najbliższego przeto ziemskiego sąsiedztwa gwiazd, bo z łamów, jak mówię, „Przeglądu Polskiego"—już i wówczas znaleźli się śmiałkowie, którzy twierdzili, że literaci na tych wysokościach ani na jotę nie są lepszymi

i oględniejszymi od kolegów swoich na nizinach. Ja sam poważyłem się wykazać, że kapłan gnieżdżący się tam gdzie już nie rosną ani karłowate sosny, ani nawet mchy i liszajce, i gdzie nic nie przypomina ziemi oprócz jej łez skrzepłych na iglice lodowe — że kapłan ten, powtarzam, umie być niesprawiedliwym, namiętnym, przewrotnym i podobniejszym do jadowitego gadu w bagniskach tego padołu, aniżeli do bóstwa, które tak głośno wyznaje. Spostrzeżenie to moje doznało niestety temi dniami zbyt jaskrawego potwierdzenia.

Stanisław hr. Tarnowski ogłosił w „Przeglądzie Polskim" artykuł, w którym uderzył na właścicieli tz. obszarów dworskich w Galicji, zarzucając im, że pożyczają włościanom na przednowku zboże, i od pożyczek tych biorą procenta lichwiarskie w robociźnie. Pożyczki dzielą się na „porcje" i od każdej „porcji" dłużnik odrabia pewną ilość dni wierzycielowi, w tym stosunku, iż procent znacznie przenosi wartość wypożyczonego kapitału. W przerażającym tym wywodzie brakło tylko jednej rzeczy, t. j. wskazówki, jakim sposobem wierzyciel zdoła zniewolić dłużnika do dotrzymania tak uciążliwych warunków—wiadomo bowiem, iż egzekucja nawet co do pieniężnych zobowiązań nie idzie w Galicji ani łatwo, ani szybko, a egzekucja co do pretensyj takich, o jakich tu mowa, wcale jest niedopuszczalną. Nie można udać się ani do sądu, ani do żadnej innej władzy, aby wypędziła robotnika w pole i kazała mu pracować. Musiałby przeto „szlachcic" wschodnio-galicyjski osnuć włościanina taką siecią środków pośredniego przymusu, jaką osnuwa go żyd arendarz lub „prychodnyk," a wskutek tego większa część ludu wiejskiego musiałaby już dzisiaj jęczeć w niewoli szlacheckiej, spętana kajdanami zawisłości ekonomicznej. Otóż wszyscy wiedzą, że tak nie jest, i że owszem, zwłaszcza w okolicach słabo zaludnionych, raczej większa własność ziemska zdana jest na dobrą wolę klas pracujących. Ale ten, co uderzył na gwałt we wszystkie dzwony, był hrabią i umieścił swój artykuł w „Przeglądzie Polskim" — uwierzono tedy wszystkiemu, co napisał. Pisma krajowe, a za niemi, zagraniczne, powtórzyły jego słowa, po całym świecie gruchnęła wieść o szlachcicach-lichwiarzach, a znakomity piewca „kacawajek," Sacher-Masoch, naszkicował naprędce dla jakiejś *Revue* francuskiej plan romansu, nierównie więcej przerażającego swojemi okropnościami od „Chaty wuja Tomasza." W romansie tym szlachcic będzie zaprzęgał po dwa tuziny chłopów do karety, która go wiezie na bal do sąsiada, a szlachcianka będzie kopała nogami niemowlęta, których matki w dzień za pańszczyznę uprawiają jej ogród warzywny, a w nocy łuszczą fasolę i skubią pierze przy świetle kaganka, podczas gdy nauczycielka sprowadzona z Warszawy (bez paszportu) stoi nad niemi z nahajką w ręku i uczy je śpiewać przy pracy rewolucyjne pieśni polskie. Okropność!.......

Gdyby hr. St. Tarnowski zaglądnął był trochę na wieś w tej wschodniej Galicji, którą przedstawił w tak czarnych kolorach, byłby się przekonał, że panują tu inne zupełnie stosunki. Nie właściciele większych obszarów robotnikom, ale ci tamtym dyktują prawa. W żyźniejszych okolicach, podczas żniw, potrzeba sprowadzać ludzi do pracy z daleka, z gór, i zawierać z nimi ryczałtowe, dla właściciela nader uciążliwe ugody. Zamożniejszy włościanin, ksiądz, żyd prowadzący gospodarstwo, umie i może sobie radzić inaczej — tu i ówdzie spekulant cudzoziemski, nabywszy majątek, potrafił także wyzyskać nędzę i nieopatrzność ludu na swoją korzyść — tak zwana szlachta atoli nietylko nie umie tego, ale wprost działa przeciw swojemu interesowi, bo zamiast łączyć się solidarnie, sąsiad dokucza sąsiadowi na różne sposoby, i toczą się o robotnika walki, na których „praca" wychodzi lepiej niż „kapitał," bo jest więcej poszukiwaną. Wyjątków potrzebaby szukać ze świecą w całym kraju. Właściciele więksi w innym kierunku czynią krzywdę ludowi, w tym mianowicie, iż obstają przy odrębności swoich obszarów, nie łączą się z gromadami, nie podzielają z niemi w równej mierze ciężarów publicznych i nie starają się pozyskać ich zaufania, aby później z takowego ku pożytkowi ludu korzystać — ale o takiem wyzyskiwaniu, o jakiem pisał hr. Tarnowski, Bogu dzięki mowy jeszcze nie ma. Otóż i sam autor artykułu o „porcjach," wywoławszy powszechne oburzenie, spostrzegł, że poszedł za daleko, że lekkomyślnie dał wiarę temu, co niedokładnie zasłyszał, i przedstawiając rzecz jak to uczynił, rzucił potwarz na całą klasę społeczeństwa niezmiernie w ustroju narodowym ważną. Pojawiło się w *Czasie* „N a d e s ł a n e," w którem hr. Tarnowski po części przyznaje się do winy, pod presją owego ogólnego oburzenia — „cieszy się" nawet jak powiada, z tego oburzenia, „dowodzi ono bowiem, iż złe pojawia się tylko wyjątkowo i wcale jeszcze się nie zakorzeniło."

Czy nie byłoby lepiej, gdyby p. hrabia, wszedłszy raz na tory, po których kroczą owi pisarze sądowi „Królowej Opinji" przez niego oddani, naśladował ich był we wszystkiem? Czy nie lepiej mianowicie, skoro „złe pojawia się wyjątkowo" wytknąć i wskazać pałcem te wyjątki, i postawić je na pręgierzu, niż w szumnych a ogólnikowych frazesach potępiać w czambuł winnych i niewinnych, jak ów fanatyk, który odpowiedział Szymonowi de Montfort podczas rzezi zdobytego na Albigeńczykach miasta, że „Pan Bóg po śmierci odróżni wiernych od kacerzy?" Potępiają ci panowie polemikę „osobistą," zarzuty „osobiste"—o opinja za nimi, jak za panią matką, powtarza nieraz ten pacierz. Tu mamy przykład namacalny, że potępienie to jest niesłusznem, i że nie ma nic szkodliwszego nad zarzuty miotane ogólnikowo. Osoba może się bronić, może udowodnić, że ją skrzywdzono — ogół tego uczynić nie może. Po wystąpieniu kilkunastu obywateli w pismach publicznych i po odwołaniu które wydrukował hr. Tarnowski, pozostał jeszcze zawsze niecofniętym zarzut, iż p e w n a c z ę ś ć obywateli wiejskich we wschodniej Galicji trudni się lichwą — zarzut ten znalazł głośne echo za granicą, poparła go powaga hr. Tarnowskiego i nie rychło szlachta polska a wraz z nią cały naród umyje się od błota, którem go obrzucono... z takiej wysokości!

* * *

Rocznicę zgonu Mickiewicza, która schodzi się z rocznicą powstania listopadowego, obchodziła młodzież we Lwowie i w Krakowie w sposób od kilku lat przyjęty, a świadczący, że i tej młodzieży wyrządzają nieraz krzywdę ci, którzy ją obwiniają o brak zapału i miłości rzeczy ojczystych. Nie jest ona tak pełną życia, ruchu i fantazji, jak bywała np. w Wilnie za młodych lat wielkiego naszego poety—ale nie jej w tem wina. Cały świat zmienił się od tego czasu, zwłaszcza na zewnątrz. Wyraża on i objawia inaczej, co myśli i czuje, ale przecież jeszcze myśleć i czuć nie przestał — nie przestała też i młodzież. Tylko jak światu zdaje się czasem, że jest teraz rozumniejszym, tak i między młodzieżą pojawiają się nieraz przedwcześni mędrkowie, na wzór G o g a, którego prześladuje „Szczutek." Ogół nie jest gorszym, niż bywał zawsze. Jeżeli brak mu czasem spójni, brak jej jeszcze większy między starszymi. Literaci, którzy narzekają na dzisiejszą młodzież, niechajby wprzód dokazali tej sztuki, by ich samych można zgromadzić przynajmniej dziesięciu w jednym pokoju. Ale tej sztuki nikt nie dokaże, zwłaszcza we Lwowie. Gdyby literaci mieli urządzić obchód na uczczenie pamięci Mickiewicza, nie udałby się i dałby powód do nieskończonych kwasów. Albo artyści? Czy widział ich kto kiedy we Lwowie więcej niż jednego naraz, a i ten jeszcze nie był w zgodzie sam z sobą! Mamy kilka koteryj muzycznych, kilka dramatycznych i t. d. W takim składzie rzeczy cudu dokazał p. Marek, że mu się udało urządzić koncert dla „ubogich a zasłużonych" klientów W. Wiśniewskiego — mam nadzieję, że wieczór ten osiągnął cel pożądany. Każdy wie przecież, kim jest p. Wiktor Wiśniewski — jest on najruchliwszem we Lwowie stowarzyszeniem, a oraz jedynem, które nie może ani rozejść się, ani być rozwiązanem, jedynem, o którem powiedzieć można, że ma głowę, ręce i nogi. Szczycę się przyjaźnią tego stowarzyszenia, i czytelnicy „Pogadanek" zobowiązaliby mię sobie mocno, gdyby się przyczynili do prezentu, jaki zamierzam zrobić „ubogim a zasłużonym" pupilom p. Wiktora Wiśniewskiego, aby 24. bm. przy opłatku mogli spożyć szczupaka, i wypić kieliszek wina. Składki zbierać nie myślę, ale jeżeli kto znajdzie w pugilaresie swoim parę guldenów, niechaj je sam poszle na ulicę Ochronek, l. 6 — a ręczę, że i jemu samemu lepiej będzie smakowała wieczerza w wilję Bożego Narodzenia.

* * *

In usum delphini, t. j. ku pożytkowi i zbudowaniu kochanego mojego Lwowa, pozwalam sobie donieść, że rada miasta Krakowa postanowiła polecić p. Jędrzejowi Grabowskiemu we Lwowie wymalowanie portretu byłego swojego prezydenta, dr. Dietla. Przeznaczono 700 zlr. na uczczenie zasług znakomitego profesora, położonych około miasta i około nauki. Że portret wypadnie doskonale, o tem może być pewnym każdy, kto oglądał w pracowni p. Grabowskiego skończony właśnie portret p. A. Ch. obywatela lwowskiego—obraz ten świadczy bowiem o coraz większych postępach naszego artysty, któremu jako portreciście nie szczędzi pochwał krytyka niemiecka. Czy nie uznałby p. „Onufry z Bajek" za rzecz stosowną, ażeby bogatsza nierównie od krakowskiej gmina lwowska, także od czasu do czasu zamówiła lub kupiła jaki obraz u którego z artystów polskich? My tu wprawdzie „s a m e m i e w a m o malowanych burmistrzów," ale moglibyśmy sobie kazać wymalować co innego, niekoniecznie burmistrza. W danym razie, zamiast znakomitości ustępujących z areny publicznej, nie jeden dorastający wielki człowiek gotów jest poświęcić się na wymalowanie i na zawieszenie w sali radnej. Czasem znowu, uda się może kupić tanio jaki obraz na licytacji, a nadzieja takiej oszczędności skłoni może jeszcze snadniej p. Onufrego do powzięcia uchwały i do dania pieniędzy, aniżeli chwalebny przykład Krakowa.

Jan Lam.

MOI SYNOWIE

WIKTORA HUGO

przekład

WŁADYSŁAWA ORDONA.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Jestże to skarga? Bynajmniej. Bo i jakiemż prawem się skarżyć? i na kogoż się skarżyć? Na Ciebie, Boże? Nie. Na Ciebie, ojczyzno? Nigdy.

Któż mógłby pomyśleć o Francji inaczej jak wdzięcznością i rozczuleniem. A dla tego człowieka, dla tego ojca, nie istniejąż trzy dni niezapomniane: 5. września 1870, 18. marca 1871, 28. grudnia 1873? 5. września 1870 powrócił do ojczyzny, do Francji; 18. marca 1871 i 28. grudnia 1873 synowie jego powrócili, jeden po drugim, do innej ojczyzny — do grobu, a w każdym z tych trzech powrotów zbiegałeś się ze wszystkich stron, uczestniczyć, o niepoliczony ludu Paryża! Przybywałeś tkliwy, wzruszony, wielkoduszny, przynosząc z sobą ów głęboki szmer tłumów, tak podobny do kołysanki matek. Od czasu tych trzech dni nie zatartych objawiałaż się gdziekolwiek, mniejsza gdzie, w jakichkolwiek sferach potwarz, obelga i nienawiść. Być może — i dla czegożby nie? Ale komuż to krzywdę czyni. Tym chyba, którzy nienawidzą. Żałujmy ich. Lud jest wielki i dobry. Reszta niczem. Ażeby się tem wzruszyć, trzebaby nigdy nie widzieć Oceanu. Co może obchodzić marna pieniąca się powierzchnia, gdy dno oddycha taką uprzejmością i pokojem! Żalić się na ojczyznę, wyrzucać jej cośkolwiek, nie, nie, nie! Nawet kto umiera przez nią, żyje przez nią. Co do ciebie, Boże, cóż ci powiedzieć? Nie jestżeś ty niezbadanym? Cóż więcej wiemy nadto, żeś ty jest i że my jesteśmy. Albož cię znamy, o tajemnico. Wieczysty Boże, obracasz, drzwi grobowca na zawiasach i wiesz dla czego. My grzebiemy dół; co po za tem do ciebie należy. Jamie w ziemi odpowiada otwór w firmamencie. Posługujesz się mogiłą, jak my retortą, a ponieważ rzecz niepodzielna, nie ulega zniszczeniu, nic więc się nie zatraca, ani atom materjalny, ciałko, — w retorcie, ani atom moralny — ja, w grobie. Kierujesz przeznaczeniem człowieka, skracasz młodość, przedłużasz starość, do wszystkiego masz swoje powody. Wśród naszych mroków, my będący względnością, co chwila potrącamy poomacku o ciebie, któryś jest absolutem, i to zetknięcie w ciemności z twemi prawami nie przechodzi bez bolesnych śladów. I ciebie oczerniono, ciebie także. Religje mienią cię zazdrośnym, gniewliwym, mściwym; czasami przytaczają na twą obronę okoliczności łagodzące. Tak czynią religje. Wiara cię uwielbia. To też religje są wrogami wiary. Religje wierzą w absurdum, wiara w prawdę. W pagodach, w moscheach, w synagogach, z wysokości kazalnic i w imieniu dogmatów radzą ci, napominają cię, tłómaczą, określają; księża ośmielają się sądzić o tobie, mędrcy nigdy. Mędrcy przyjmują cię. Przyjąć Boga jest szczytem filozofji. Własne nasze rozmiary wymykają się naszemu pojęciu, ty sam tylko znasz miarę wszystkiego i wszystkich. Prawa próby są różne. W jednego człowieka uderzają częściej ciosy aniżeli w innych, zda się, że przeznaczenie nigdy go z oka nie traci. Ty wiesz, dla czego. My widzimy tylko skrócenia, tobie samemu jedynie wiadome proporcje prawdziwe. Wszystko się odnajdzie kiedyś. Każda cyfra znajdzie swoją sumę. Życie nie nadaje innych praw na tej ziemi prócz prawa do śmierci, ale prawo do śmierci nadaje wszystkie prawa. Człowiek niech spełnia swój obowiązek, Bóg ze swego się wywiąże. Jesteśmy dłużnikami i wierzycielami twoimi zarazem: naturalny stosunek synów do ojca. Wiemy, że przychodzimy od ciebie, czujemy mglisto, ale pewnie, punkt połączenia człowieka z Bogiem; jak promień ma świadomość słońca, tak nieśmiertelność nasza ma świadomość twojej wieczystości. Jedna z nich stwierdza się i dowodzi drugą: szczytne koło! Musisz być sprawiedliwym, tem samem, że jesteś i że zło ani śmierć nie istnieją. Nie podobna abyś był czem innem, dobrocią na wyżynie życia, a jasnością w głębi niebios. Nie możemy istnieniu twemu zaprzeczyć, jak nie możemy zaprzeczyć nieskończoności. Jesteś nieograniczonością widoczną. Żywot powszechny to ty, niebo powszechne to ty. Dobroć twoja jest ciepłem jasności twojej; prawda jest promieniem twojej miłości. Człowiek mocen tylko czynić niedołężne próby pojęcia ciebie. Pracuje, cierpi, kocha, płacze i wśród tego wszystkiego spodziewa się. Schylać przed tobą czoło nasze, to znaczy ducha podnosić. Oto wszystko, co mamy do powiedzenia tobie, o Boże.

VII.

Nie ma tu więc skargi. Co najwyżej mamy prawo — do zdziwienia się. Zdziwienie mieści w sobie całą ilość protestacji dozwoloną temu niezmiernemu ignorantowi, jakim jest człowiek. A to bolesne zdziwienie jakżeż zachować dla siebie, kiedy Francja oń się dopomina? Jak myśleć o bolach osobistych, wobec nieszczęścia publicznego. Wolno każdemu mieć swoją własną ranę, ale powinien ją ukrywać wobec broczącego się łona matki naszej. Ach jakież sny—śniliśmy! Byliśmy wyjęci z pod prawa, wydaleni, wygnani i jeszcze raz wygnani, wywołani i powtórnie wywołani; znalazł się człowiek o siwych włosach, którego wypędzano czterykroć, najprzód z Francji, potem z Belgji, potem z Jersey, potem z Belgji raz jeszcze. I cóż z tego? Należeliśmy do wygnańców. Uśmiechaliśmy się. Mówiliśmy: co tam! Francja, Francja tam została, zawsze wielka, zawsze piękna, zawsze uwielbiana, zawsze Francja! Przegradza nas od niej zasłona, ale lada dzień cesarstwo rozedrze się od dołu do góry, a przez tę szczelinę promienistą Francja pojawi się nam znowu. Francja pojawi się, co za olśnienie! W świetności swojej, chwale swojej, swoim majestacie braterstwa dla narodów, w pełnej koronie swej, jak królowa, w całej aureoli swojej, jak bogini, potężna i wolna, potężna dla osłaniania innych, wolna dla wyzwolenia innych. Oto smutek, żeśmy sobie tak mówili. Niestety, miast marzonej apoteozy, pręgierz. Ojczyznę stratowały nogami ta dzika zmora — wojna zewnętrzna, i ta obłąkana — wojna domowa; jedna usiłowała zamordować cywilizację i znieść stolicę świata — Paryż; druga spaliła dwa święte żłobki rewolucji: — Tuilerje, gniazdo konwentu, Hôtel de Ville, gniazdo komuny. Skorzystano z obecności Prusaków, dla zwalenia kolumny jeńskiej. Dodano im i tę roskosz. Zabijano starców, zabijano kobiety, zabijano drobne dzieci. Jako ludzie pijani nie wiedzący co czynią, byli ci ludzie. Wykopywano doły niezmierne, w które rzucano w natłoku i na pół żywo, sprawiedliwość i niesprawiedliwość, fałsz i prawdę, zło i dobro. Chciano zwalić z nóg tego olbrzyma—Paryż, chciano wskrzesić tę marę — Wersal. Były pożary godne Herostrata, i bratobójstwa godne Atreusza. Kto popełnił te zbrodnie? Nikt i cały świat; owe dwa przeklęte anonimy: wojna zewnętrzna i domowa; barbarzyńcy, którzy chwycili się za bary, zwierzęco, idąc z dwóch stron naraz: od strony burzliwej, kędy mieszkają orły i od strony mrocznej, gdzie żyją sowy, przestępując jednym krokiem granicę, jednym krokiem mury, ci przechodząc Ren, tamci zalewając krwią Sekwanę, wszyscy depcąc i kalając krwią ludzką sumienie, ani wiedzący dla czego to czynią, niepojmujący nic, okrom że wiatr który przelatywał koło nich, gniew w nich zapalił. (D. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

„Wkrótce po straceniu na zawsze z oczu Germanii w gęstych mgłach, zamknęły nas ze wszystkich stron kry lodowe i okręt nasz stracił zupełnie wolność ruchu. Owładnęło nas dziwnie przykre uczucie, gdyśmy się ujrzeli tak uwięzieni bez sposobu wydobycia się na otwarte morze. W którąkolwiek stronę rzucić okiem, wszędzie tylko połyskujące pola i góry śniegowe, i olbrzymie płyty lodu z kałużami niebieskawej wody, jakoby wyspy pływające, zalane pośrodku jeziorami. O północy płonie blade słońce na tych górach z lodu i nawodzi żółtem światłem bezbrzeżną pustynię, a dołem kłębią się szare mgły. Czasami spostrzegasz w dali maszty i żagle, i cieszysz się pewną nadzieją rychłego oswobodzenia, gdy w tem nagle rozpływa się wszystko w powietrzu, i przekonywasz się, że to tylko złudne igrzysko słońca i mgły. Kilkakrotnie otwierały się kanały, ale zaledwie rozwinęliśmy żagle i okręt pomknął się cokolwiek naprzód, zbijały znowu dokoła kry, aż wreszcie 6. września ustrzegła Hansa w wyłomie olbrzymiej płyty lodowej, jakoby w małym porcie, aby już nigdy więcej z tego miejsca się nie ruszyć. Uprzyjemnialiśmy sobie czas wycieczkami na lody i polowaniem na foki i niedźwiedzie. Z jednej z takich wycieczek łowieckich przyprowadziliśmy na okręt żywego niedźwiadka, ale nieokrzesany ten obywatel polarnego świata taki okazał wstręt do kultury niemieckiej, że w nocy uciekł nawet z łańcuchem, na którym był upięty. W miarę jednakże im bardziej oddalało się ku południowi słońce, stawał się zwierz rzadszym, aż w końcu musieliśmy zaniechać naszych wycieczek i pomyśleć o urządzeniu się na zimę.

Nie upadliśmy byli na duchu i krzepiliśmy się najlepszą nadzieją, ale zarazem nie zaniedbaliśmy przygotować się na najgorsze wypadki. Okręt nasz zamknięty lodami wśród otwartego morza, mógł przy pierwszej silniejszej burzy nie wytrzymać gwałtownego parcia druzgocących się wzajemnie płyt lodowych i ulegnąć rozbiciu. Na wypadek więc, gdybyśmy stracili Hansę zbudowaliśmy na olbrzymiej płycie, będącej naszem więzieniem, mały domek z węgli, których znaczny zapas posiadaliśmy, przeznaczony na zasilanie Germanii. Po kilku dniach wyglądała już Hansa jak wszystkie statki, mające przebywać zimę w lodach polarnych, a o kilkadziesiąt kroków od niej wznosił się na lodzie domek, podobny do etruskiego grobowca, sklejony z węgli, spajanych śniegiem i wodą zamiast cementu.

Niestety mieliśmy się przekonać aż nadto prędko, że ostrożność nasza nie była zbyteczną! Zaledwie po raz pierwszy zaszło słońce, rozpasały się wściekłe burze. Dokoła świszczę, szumi, huczy i miecie śniegiem gęstym a drobnym jak najdrobniejszy pył mączny we młynie, wciskający się w każdą szparę, jak tumany mgły, w których o krok przed sobą już nic nie widzisz. Co chwila słychać złowrogie pękanie lodów miotanych burzą, okręt trzeszczy i skrzypi, i wyparty w górę z swojego łożyska, pochyla się na jedną stronę. Wyrzucamy linwy i kotwicę i chronimy się na lód. Burza obalająca nas z nóg, mimo trzymania się wszystkich za ręce, śnieg zasypujący w okamgnieniu wszystko, ryk burzy przygłuszający każdy głos, zapędza nas napowrót na okręt. Nakoniec uspokoiły się wichry i ujrzeliśmy się wśród gładkiego pola śniegów bez końca, z których wznosiły się na zachodzie szczerbate skały odkrytego przez Scoresby kraju Liverpool, pomiędzy 70 a 72° płn. sz. Jak bowiem wskazówka na zegarku powoli, ale ciągle naprzód się posuwa, tak i my z tem olbrzymiem polem lodów, które nas więziły, posuwaliśmy się ciągle nieznacznie ku południowi.

Zabłysnął nam promyk nadziei, że się nam może uda przybić do lądu. Usiłowania były jednak daremne, i wkrótce nowe burze i nowe parcie lodów wydźwignęło nasz statek 14‘ w górę. Niedługo potem roztrącił wiatr napowrót kry lodowe i Hansa spuściła się znowu na wodę, ale tego strasznego ciśnienia nie wytrzymał już niestety nasz statek. Boczne wiązania puściły i szparami zaczęła się sączyć ze wszystkich stron woda. Rzuciliśmy się do przeniesienia z okrętu zapasów żywności i niezbędnych sprzętów i narzędzi. Łodzie, żagle, piec i co tylko można było przenieść, wyciągnięto na lód, a maszty, ster i linwy zrąbano na opał. Dnia 19. października w miejscu gdzie stała Hansa połyskiwała pośród lodów już tylko szyba wody, na której kołysała się smutnie nasza wielka łódź. Statek zatonął, a my rozbitki bez nadziei, pozostaliśmy na kawałku lodu, wśród pustyni polarnej, zimnej, głuchej i martwej, żywcem zagrzebani w grobie śniegów i lodów, i zdani na wolę wiatrów i prądów morskich, które mogły lada chwila roztrzaskać tę krę, jedyny sposób ratunku dla nas. I któż zdoła opisać to uczucie trwogi i rozpaczy, jakie ściskało serca nasze!

Szczęściem dla nas nie mieliśmy czasu oddawać się rozpaczy. Urządzenie naszego nowego pomieszkania, uporządkowanie i ubezpieczenie zapasów zniesionych z okrętu, przysposobienie i zaopatrzenie we wszystko potrzebne łodzi na wypadek rozbicia kry, zajęło nam kilka pierwszych, najokropniejszych dni. Powoli domek nasz, który z początku wydawał nam się grobem, otulony z zewnątrz śniegiem, a wewnątrz wybity płótnem żaglowem i ogrzewany żelaznym piecem, przeistoczył się w mieszkanie zaciszne i o tyle ciepłe, że zabezpieczało nas od zamarznięcia. Siedzieliśmy w nim wprawdzie jak Turcy na nogach, pisaliśmy jak Japończycy na kolanach — ale z czemże człowiek z czasem się nie oswoi! Tak i my nakoniec oswoiliśmy się z naszem położeniem i przekonawszy się, że kra ma 4 mile obwodu, żyliśmy na niej jakoby na wyspie, słodząc sobie smutną dolę wycieczkami łowieckiemi, robieniem obserwacji, wymyślaniem rozmaitych rozrywek, i krzepiąc się nadzieją, że jeżeli przed czasem nie roztrzaskają burze naszego przytuliska, to posuwając się ciągle ku południowi możemy się przecież spodziewać ratunku.

Z końcem listopada począł już dzień zupełnie gasnąć. Długie świtanie poprzedzało wschód słońca, które, jakoby namyślając się czy wynurzyć oblicze swoje nad ten świat zmartwiały, pokazywało nam najprzód promienną koronę, jaśniejącą jak łuna pożaru na lodach, nim wreszcie wysunęło leniwo całą tarczę, rzucając blask bez ciepła, podobny do tego jaki rozlewało latem o północy, kiedy znużone długiem krążeniem, składało na horyzoncie głowę na chwilowy spoczynek. Coraz krótsze były jego odwiedziny, aż w końcu rozstało się całkiem z nami, żegnając nas odbiciem swojego obrazu, gdyż ta kula słoneczna, która jeszcze przez czas jakiś wzbijała się o południu nad widnokrąg, była już tylko refrakcją rzeczywistego słońca. Tylko w chwili porannego świtania, zlewającego się teraz w jedno z zorzą wieczorną, płonęły jeszcze skaliste góry wybrzeży grenlandzkich, jakoby obsypane żarem, i różowawy odblask nawodził bezbrzeżną pustynię śniegów. Nareszcie zniknęło i to ostatnie wspomnienie dziennego światła i noc polarna, ustalając na długo swoje straszne panowanie, okryła świat wyiskrzonym płaszczem. Jak w lecie słońce, tak teraz księżyc krążył dokoła widnokręgu i gwiazdy nie gasły prawie na sklepieniu niebieskiem, po którem rozsnuwała zorza polarna promieniste, mieniące się i falujące wstęgi i strzelała słupami elektrycznego światła.

Przy świetle zorzy polarnej obchodziliśmy wilję Bożego Narodzenia jak mogliśmy najuroczyściej, a pierwszy dzień r. 1870 zastał nas z całym naszym domkiem zasypanych tak zupełnie śniegiem, że tylko za pomocą chodnika, opatrzonego schodami, mogliśmy się wydostawać na powietrze. Kra nasza stała właśnie podówczas w obliczu jakiejś wyspy, której nigdy przedtem oko Europejczyka nie widziało, i którą nazwaliśmy wyspą Noworoczną.

Drugiego dnia nowego roku przeraził nas trzask, jakiego nigdy dotąd nie słyszeliśmy. Od spodu kry wydobywał się złowrogi zgrzyt, który kazał się domyślać, że nasza lodowa wyspa trafiła na podwodne skały, a zdala zalatywał łomot trzaskających i obłamujących się krawędzi lodu. Chcieliśmy wydobyć się z naszej zaspy, ale srożąca się burza nie dozwoliła nam wychylić głowy na powietrze. Przebyliśmy noc straszną, która zdawała się bez końca. Około południa odważyli się obaj sternicy nasi wyjść i powrócili wkrótce z przerażającą wieścią, że kra nasza była w połowie prawie zdruzgotaną. Przygotowaliśmy się do ucieczki. — Dokąd? — Tego nikt nie wiedział i nikt też o tem nie myślał! O błogosławiona nadziejo! — ty jedna nie odstępujesz nigdy człowieka i najwierniejsza jego towarzyszka we wszystkich przygodach i cierpieniach nie przestajesz mu przyświecać nawet w chwili ostatniej, ratując go od zwątpienia i rozpaczy!

Dopiero czwartego dnia uspokoiły się wiatry i rozpogodziło się niebo. Wygrzebawszy się z góry śniegu, która przewaliła nasze schronienie, zobaczyliśmy, że kra, z której zaledwie ósma część pozostała, zatrzymała się w przystani, spiętrzonej ze wszech stron skalistemi górami, na południu od wyspy Noworocznej. Wybrzeża zasypane były złomami lodów, które o nie się roztrzaskały, a dokoła sterczały ze śniegu czarne głowy skał, grożąc nam lada chwila rozbiciem. Wkrótce zerwała się napowrót burza i poczęła miotać krami. Łomot druzgotanych i walących się jedne na drugie płyt lodu, zmieszany z rykiem burzy, wygnał nas znowu z domu. Ledwieśmy byli za progiem pękła lodowa podłoga domku, ściany jego zachwiały się i rozwartą szczeliną rozlała się fala wody po wierzchu kry. Wielkie czółno wpadło w wodę pomiędzy rozbite kry, inne zasypane były śniegiem; nie mieliśmy więc żadnego schronienia i przepędziliśmy trzy dni okropne pod gołem niebem. Nakoniec uspokoiły się rozhukane żywioły i pozwoliły nam rozpatrzyć się w naszem położeniu. Domek nasz nie runął wprawdzie, ale mieszkać w nim było już niepodobna; czółno nasze wytrzymało na szczęście nieuszkodzone parcie lodów. Wyciągnęliśmy je naprót i opatrzyliśmy nakryciem z żagli, dwa mniejsze czółna oczyściliśmy ze śniegu, zbudowaliśmy sobie nową budę z desek, które tworzyły dach naszego domku węglowego i wygrzebawszy z pod śniegów i lodów co się dało z naszych zapasów żywności i rzeczy, oczekiwaliśmy z rezygnacją, jaki los nam przeznaczy niedaleka przyszłość. Nadsłuchywaliśmy z trwogą czy w huku burzy nie usłyszymy trzaskania lodu i co godzina obchodził jeden z nas krę, licząca już teraz wszystkiego 360 kroków obwodu, aby się przekonać czy jej krawędzie dalej się nie obrywają.

Tak wypłynęliśmy z koła polarnego i zbliżyliśmy się do przylądka Dan. Ku końcowi stycznia uspokoiły się burze, a w początkach lutego poczęły rozsuwać się zatory i kra nasza pomykała coraz szybciej ku południowi, trzymając się ciągle w pewnej odległości wybrzeży Grenlandji. Mijał dzień za dniem, a nasze położenie w niczem się nie zmieniało. Setki gór lodowych, oberwanych z lodowców grenlandzkich, stawały nam w drodze, grożąc zniszczeniem naszej kry, ale szczególnem zrządzeniem Opatrzności wyminęliśmy je wszystkie szczęśliwie. Zostawiliśmy za sobą wyspę kapitana Graah, przylądek Mösting, wysepkę Nukarbik, na której spodziewaliśmy się napróżno dopatrzyć krajowców i otrzymać od nich pomoc, a tymczasem zapasy naszej żywności szczuplały z zastraszającą szybkością. Ale przyświecające już jasno słońce, budziło w nas coraz pewniejszą nadzieję ratunku, pomimo że krę naszą, na której wolę byliśmy zupełnie zdani, wstrzymywały częstokroć przeciwne prądy i cofały ją nawet czasem ku północy. Pocieszając się, żeśmy już najgorsze przetrwali, obchodziliśmy pełni otuchy wielkanoc i dopuszczając się zbytku nad zbytkami przeznaczyliśmy na tę uroczystość, co nasza spiżarnia miała najlepszego: ostatnia szynka została spożytą, ostatnia butelka wina wypitą, ostatnie cygaro uleciało z dymem.

Nadszedł nakoniec dzień 7. maja, dzień dwiesty od zatonięcia Hansy i osiedlenia się naszego na lodzie. Około południa przyszedł nasz sternik z wiadomością, że spostrzegł niedaleko wolne od lodów kanały, do których możnaby łatwo zaciągnąć czółna. Była to najradośniejsza wiadomość, jaką w położeniu naszem otrzymać mogliśmy. Od początku wiosny wyglądaliśmy z wzrastającą z każdą godziną niecierpliwością, ażali nie otworzy się pomiędzy lodami kanał, którym moglibyśmy przebić się do lądu i doczekaliśmy się przecież nakoniec tej chwili. W okamgnieniu były wszystkie przygotowania skończone. Po kilkugodzinnej pracy zepchnęliśmy nasze łodzie na wodę i rozbitki Hansy od 7 miesięcy po raz pierwszy chwycili za wiosła z radością nie do opisania, aby już teraz własnemi siłami próbować szczęścia. Wesołe „hura

*

rozległo się po pustyni. Ale w miarę im bardziej oddalaliśmy się od naszej kry, im bardziej niknęła nam ona z oczu, tem więcej posępnieliśmy. Czy uwierzycie? — żal nam było za naszą krą! i dziwnie rzewne, tęskne uczucie ścisnęło nam serce, kiedy jej lśniący rąbek błysnął nam poraz ostatni na widnokręgu. Ze łzami w oczach pożegnaliśmy naszą zbawczynię, na której odbyliśmy 972 mil morskich najstraszniejszej na świecie podróży! — Bo czyż nie dotrwała nam wiernie do ostatka? — czyż nie zawdzięczaliśmy jej ocalenia?!

Wkrótce zamknęły nam lody drogę, ale na drugi dzień mogliśmy znowu rozwinąć żagle i znowu, mając już tylko trzy mile do lądu, ustrzągliśmy w lodach. Minął maj i zaczął się czerwiec, a lody stały wciąż zbite w miejscu i nie ruszyliśmy ani krokiem naprzód. I znowu straszna przyszłość stanęła nam przed oczyma. Zapasy żywności były na schyłku i obdzielając dziennie po pół funcie chleba z odrobiną słoniny lub konserwowanego mięsa na osobę, mogliśmy zaledwie sześć tygodni jeszcze uchronić się głodowej śmierci. Nie pozostawało nam więc nic innego jak ciągnąć po krach i zatorach lodowych łodzie, aż dopokąd nie przebijemy się do jakiego kanału. Po niewymownej kilkudniowej pracy przywlekliśmy się wreszcie do wysepek Iwimiut i Illuidlek i spuściliśmy pomiędzy niemi nasze łodzie na wodę. W dzień Zielonych świąt wstąpiliśmy od wyjazdu z Bremy poraz pierwszy na ląd — ale na jaki ląd? — Dzikie skały piętrzyły się chaotycznie jedne nad drugie, poszarpane i porozbijane lodami, które na nie miota nieustannie rozhukane morze. Nigdzie ani drzewka, ani krzewiny, ani nawet źdźbełka trawy, i oprócz kilku mew i pietrzeli, żadnej żywej istoty!

Nie bez trudu dostaliśmy się ztąd do wybrzeży Grenlandji i odtąd szła już podróż coraz pomyślniej i coraz szybciej. Nakoniec dnia 13. czerwca, przebywszy szczęśliwie labirynt skał u południowej kończyny Grenlandji zawinęliśmy do osady Friedrichsthal. Któż zdoła opisać co się w sercach naszych działo, gdyśmy poraz pierwszy od czasu rezstania się z Germanią uścisnęli dłonie rodaków, gdyśmy po tylu miesiącach walki ze śmiercią ujrzeli się poraz pierwszy w otoczeniu swoich i w zupełnem bezpieczeństwie, mogąc sobie powiedzieć: jesteśmy wydarci śmierci a wróceni życiu!" (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Niedrukowany jeszcze list Jana Sniadeckiego.

Wielmożnemu Imci Panu Alexandrowi Wereszczyńskiemu sekretarzowi Stanów Gallicyjskich, we Lwowie, w domu Hausnera nr. 5 przy szerokiej ulicy.

W Wilnie d. 7. Września 1822. n. s.

Wielmożny Mości Dobrodzieiu.

Powróciwszy ze wsi do miasta, zastałem list obowiązuiący WWMP Pana Dobr. choć mi osobiście nieznanego, ale stąd szanownego, żeś się zaiął wypracowaniem grammatyki polskiey tak potrzebnej Polakom ięzyk swóy lubiącym. Bolesna iest czytać nie małą obrazę mowy kraiowey w pismach wychodzących we Lwowie, który był kiedyś mieyscem klassycznem i czystości ięzyka naszego, i przyiemnego go wymawiania. Zaraza ta, (iak uważałem będąc w tamtym kraiu), więcey dotknęła klassy wyższe towarzystwa iak pospolstwo wieyskie. Nieszczęście! że polacy więcey dziś dbaią, i troskliwiey chodzą o doskonalenie się w mowie cudzey niż swoiey. Ten występek iest nie do darowania pisarzom kraiowym, których naypierwszym iest obowiązkiem dobrze poznać i zgłębić ięzyk, w którym piszą: żeby go bronić od zepsucia i upadku. Dla tego dobrze napisaną grammatykę mam za dzieło potrzebne i ważne: do czego przydadź należy drugi istotnieyszy warunek, żeby ią wszyscy starali się umieć i zachować. — Miło mi było dowiedzieć się z listu WWMP Dobr. że moie pisma mogły się przydadź do JEgo pracy: ale przyzwoiciey postąpisz, kiedy dzieło swoie przypiszesz człowiekowi, który nie tylko pismami, ale nawet ofiarą swego maiątku przyłożył się w tamtym kraiu do utrzymania mowy oyczystey. Takim iest Józef Hrabia Ossolinski fundator Biblioteki kraiowey we Lwowie: ta wdzięczność publiczna zrobi zaszczyt Autorowi, i naylepiey się wyda w xiążce zawieraiącey prawidła ięzyka. Dla mnie dosyć będzie, kiedy w przemowie namienisz, że Mu pisma moie były do tey pracy przydatne — Dopomniałem się w Uniwersytecie o odesłanie WWMPanu Dobr. iego grammatyki z tutejszemi nad nią uwagami: co zaraz nastąpi za powrotem ze Wsi Sekretarza rządu Uniwersytetu.

Proszę przyiąć i moje podziękowanie za podchlebną przychylność, i szczere wyznanie mego szacunku i poważania z którem mam honor zostawać

WWMPana Dobrodzieia
najniższym sługą
Jan Sniadecki.

List niniejszy nie znachodzi się wcale w wydanym przez Michała Balińskiego zbiorze listów naszego uczonego, zawartym w drugim tomie „Pamiętników o Janie Sniadeckim, jego życiu prywatnem i publicznem i dziełach jego" (Wilno 1865) a w obszernej i bardzo szczegółowej tej biografji, napisanej przez wspomnianego autora, zostającego że Sniadeckim w bliskich bardzo stosunkach, nie ma także żadnej zmianki o dość ciekawej listu tego treści. W oryginale udzielił mnie go uprzejmie Dr. Gryziecki profesor tutejszego Uniwersytetu. Mieści on w sobie wszystkie charakterystyczne właściwości stylu i stałych poglądów słynnego Rektora Uniwersytetu Wileńskiego, z któremi miałem niedawno sposobność bliżej się obznajomić, pisząc o „filozofji Jana Sniadeckiego." (Poznań 1873) Cały jego sposób myślenia o dotkniętych tu kwestjach odbija się w tych kilku słowach tak dalece, że ktokolwiek przeczytał z uwagą pomniejsze jego pisma, nie widząc nawet w liście tym podpisu, natychmiast odgadnąć by musiał, z pod czyjego on pióra pochodzi. Ogłaszając go dzisiaj drukiem, zatrzymuję jednak całkiem właściwą Sniadeckiemu pisownię i nie pochwalam tego Balińskiemu, że już w tak dawnem zbiorowem swem wydaniu dzieł tego uczonego (Warszawa 1837 i nast.) umyślnie takowej wiernie nie zachował.

Co się tyczy gramatyki języka polskiego, o której w tym liście jest mowa, to na moje zapytanie w tej mierze odpisał mi znany nasz bibliograf, Dr. Wł. Wisłocki, kustosz biblioteki Jagiellońskiej co następuje: O gramatyku polskim Alexandrze Wereszczyńskim około roku 1820 nic mnie zgoła niewiadomo. Również nie znalazłem nic o nim w rękopisie „Bibliografii polskiej 19 wieku" zebranej przez Dra. Karola Estreichera Dotychczas musi gdzieś zostawać w rękopisie to wykończone już wówczas dzieło, które oczywiście dzisiaj mogłoby już mieć wartość więcej tylko historyczną.

Dr. A. Skorski.

Listy z Krakowa.

II.

Kraków 25 Listopada.

Życie naszego miasta od jakiegoś czasu mniej materjałów niż to dawniej bywało, dostarcza sprawozdawcom i korespondentom. Kraków wszedł w jakąś fazę spokojną, w której wszystko się odbywa podług kalendarza i zegarka, tak że siadając do napisania korespondencji, kronikarz krakowski nie bez pewnego zdziwienia spostrzega, że równie łatwo byłoby mu napisać sprawozdanie z przyszłego miesiąca jak zreferować je za miesiąc przeszły. Posiedzenia komisji z wydziałów Akademji umiejętności odbywają się z wzorową punktualnością, można więc wiedzieć naprzód jakie aż do końca roku przypadną, a obeznawszy się z manipulacją tej naukowej instytucji, nietrudno jest przewidzieć jakie przedmioty będą poruszone i kto w nich będzie głos zabierał. Inne towarzystwa, o ile są, i o ile dają znaki życia, znajdują się także w bardzo regularnym toku i żadnych niespodzianek nie wróżą. Że „Postęp" zmienia nazwę, stając się przynajmniej *de nomine* wskrzeszeniem „Resursy warszawskiej" i że ta zmiana już w przyszłym miesiącu będzie faktem, także wiadomo. Obchód Mickiewiczowski w czytelni akademickiej, koncert Wilhelmiego, koncert na pogorzelców gorlickich i koncert jakiegoś niewidomego fortepianisty, są już zapowiedziane, wiadomo kiedy się odbędą, wiadomo nawet ciekawszym co będzie grane i śpiewane, i kto dla urozmaicenia programu udział w nich przyjmie, wiadomo wreszcie lepiej znającym Kraków i jego świat muzykalny, że powodzenie tych koncertów iść będzie *diminuendo* w tym porządku jak je wyliczyliśmy. „Afisz teatralny" dostarcza niezawodnych wskazówek co do repertoaru scenicznego na miesiąc następny, a z nazwisk autorów sztuk zapowiedzianych, z rodzaju tych sztuk, oraz z listy występujących w nich artystów łatwo odgadnąć jakie znajdą przyjęcie i ile publiczności do sali teatralnej sprowadzą. „Czas" ogłosił wykaz spraw, które będą sądzone przed sądem przysięgłych; porozumiawszy z kilkoma prawnikami korespondent mógłby bez trudu, przy pewnej wprawie, odgadnąć która rozprawa obudzi większy interes publiczny, a jeśli ma niejaką biegłość w przewidywaniu objawów opinji publicznej, mógłby z prawdopodobną omyłką o jeden lub dwa głosy podać nawet werdykt, jaki zapadnie. Posiedzenia wreszcie Rady miejskiej odbywają się regularnie w pierwszy czwartek każdego miesiąca i od kilku już tygodni wiemy, że na następnem prezydent miasta będzie stawiał wnioski mające na celu ułatwienie przedsiębiorcom budowy domów dla klas wyrobniczych, przez udzielanie pożyczek na amortyzację funduszu miejskiego.

Z tego krótkiego przeglądu spraw przeszłomiesięcznych, których po bliższem rozpatrzeniu, znalazłoby się niezawodnie dwa razy tyle, widzimy, że ktoby chciał pisywać z Krakowa „Korespondencje przyszłości", ktoby chciał zostać Ryszardem Wagnerem korespondentów krakowskich, nie miałby zbyt trudnego zadania. Faktem jest przecież, że podobne zadanie, w innych ogniskach publicznego życia, w innych miastach, chociaż w nich także są i być muszą rozmaite perjodyczne objawy ruchu i pracy, byłoby daleko trudniejszem, a może zupełnie niemożebnem; faktem jest, że w innych miastach zachodzi daleko więcej wypadków i zdarzeń, mających co do formy i treści charakter bardziej niespodziewany i przewidzieć się nie dający, niż w Krakowie w bieżącej chwili, a ta różnica musi być wypływem pewnej charakterystycznej, chwilowej albo stałej przyczyny. Zdaje mi się, że gdyby korespondent potrafił dójść tej przyczyny, to spełniłby zadanie poważniejsze i stworzyłby studjum ciekawsze dla czytelników niż podając, choćby nawet w bardzo zręcznie ułożonej mozajce, rejestr faktów przeszłych lub przyszłych, stanowiących miesięczną kronikę Krakowa.

Bez pretensji do stanowczego rozwiązania tego zadania, niech mi wolno jednak będzie obrać ten temat za przedmiot niniejszego listu.

Instytucjom krakowskim towarzyszy zwykle przy urodzinach dość wrzawny obchód. Chrzciny zwykliśmy wyprawiać huczne. Ale po upływie pewnego czasu przestajemy się interesować dalszemi objawami życia nowonarodzonego dziecka, obojętniejemy na jego losy, czego naturalnem następstwem jest, że zaczyna ono wegetować zamiast żyć, i po upływie pewnej epoki, dłuższej lub krótszej, stosownie do zasobu sił żywotnych, jaki z sobą do kolebki przyniosło zasypia snem letargicznym, albo umiera tak cicho, że mało kto spostrzega jego śmierć, albo wlecze żywot mizerny z dnia na dzień, jak zepsuty zegar na naszej wieży miejskiej, na który nikt nie zważa, że się spóźnia lub spieszy, i że na rozmaitych swoich cyferblatach sam z sobą zostaje w niezgodzie. Jeżeli trzeba przykładów takiego *curriculum vitae*, to proszę sobie przypomnieć dzieje prawie wszystkich naszych Towarzystw, np. owego Towarzystwa Przyjaciół Oświaty, które zaczęło się niby pod najszczęśliwszą gwiazdą, a potem mizerniało i marniało, aż nareszcie w r. 1870 na walnem zgromadzeniu wybrało zarząd, do którego i piszący te słowa miał zaszczyt należeć, a zarząd ten zebrawszy się raz czy dwa razy, wydział się zmuszonym wybrać komisję w celu zbadania

kwestji, czy towarzystwo istnieje jeszcze, czy też już poszło *ad patres*. Od wyboru tej komisji ani zarząd ani towarzystwo żadnego już śladu życia nie dało. Tak samo skończył tutejszy oddział Towarzystwa Oświaty ludowej, taki jest los Towarzystwa gospodarczego, liczącego coraz mniej członków, a między członkami coraz mniej płacących składki. Resursy mieszczańskiej, kasyna artystyczno-literackiego, taki sam przebieg dziejów Postępu, który teraz gorliwsi członkowie starają się za pomocą jakiegoś galwanicznego eksperymentu od zagłady ocalić i do nowego życia powołać. Tak samo się rodziły i tak umierały dzienniki np. „Kraj“ albo „Djabeł“, który żyje wprawdzie ale już ani stałych terminów wychodzenia nie ma, ani pod względem liczby wydanych numerów wymaganiom chronologicznym zadość uczynić nie może i też same losy lubo nieco powolniej, zdaje się przechodzić teatr pod obecną dyrekcją, któremu z początku towarzyszył najgoretszy spółudział publiczności, a który teraz gorzko się już nieraz uskarża na jej obojętność i apatję. Coś podobnego wreszcie dzieje się z Akademją umiejętności, która w prawdzie funkcjonuje normalnie i jako na trwalszych oparta podstawach niema powodu obawiać się zgonu z braku sił, bo ma oddech chociaż słaby zabezpieczony, ale która przy żywym udziale całego świata naukowego polskiego, a zwłaszcza, ponieważ istnieje w Krakowie, przy najżywszym udziale uczonych krakowskich, mogłaby się stać tem czem być powinna. Urodziny jej obchodzono głośno, nazwiska pierwszych powołanych członków przesiano przez sito żywej, namiętnej prawie polemiki, w obchodzie otwarcia całe miasto udział wzięło, na pierwsze publiczne posiedzenie o bilety doprosić się nie było można, potem, i to zaraz wkrótce potem, całe zajęcie ustało. Ogół na losy tej instytucji naukowej zobojętniał, lecz byłoby to jeszcze mniejsza, gdyby z ciągłą gorliwością krzątał się koło niej świat uczony. Kto jednak sądzi, że tak jest, ten zostaje w największem złudzeniu. Zamiast być świątynią naukową, Akademja staje się coraz bardziej biurem naukowem, które na świadectwo swej działalności może wprawdzie powołać wielką liczbę załatwionych referatów, czyli mówiąc językiem galicyjsko-urzędowym, wielką liczbę odrobionych „kawałków“ ale które nie może wskazać faktów dowodzących, że życie naukowe w kraju w jakimbądź kierunku rozbudziło. Publikacyj Akademji wychodzi dużo, bo kierunek administracyjny jest sumienny, gospodarka wzorowa i oszczędna, można więc wiele arkuszy puścić w obieg z firmą akademicką; publikacje te jednak, będące w bardzo znacznej części spuścizną po b. Towarzystwie Naukowem, pozostają bez wpływu jaki mieć powinne, — nie mówiąc o szerszym ogóle, sami uczeni, sami członkowie Akademji, zajmują się niemi bardzo mało. Co większa, ustało nawet ubieganie się o krzesła akademickie, zobojętniały ambicje, umilkła krytyka.

Co jest powodem takiego stanu Akademji krakowskiej będę się starał szczegółowo rozebrać w następnych listach, w miarę nasuwających się objawów i faktów, dających pole do uwag tego rodzaju; tutaj zapytam, co jest powodem tego ogólnego losu wszystkich prawie w obrębie naszych murów powstałych instytucyj, wszystkich u nas przedsiębranych prac zbiorowych, wszystkich niemal naszych planów i projektów? dlaczego wszystkiem męczymy się i nudzimy tak prędko? dlaczego ile razy założymy sobie cel jakiś, ustajemy, nie doszedłszy nawet połowy drogi?...

Jest u nas zwyczajem ilekroć kto postawi takie pytanie, odpowiadać zwalając złe na jakieś wady naszego narodowego charakteru. Gdyby wierzyć tym odpowiedziom, należałoby sobie powiedzieć, że my Polacy jesteśmy z rodu do niczego i że z nas nic nigdy nie będzie. Ale przecież jeżeli spojrzymy na cały obszar Polski, przekonamy się łatwo, że nie wszędzie tak się dzieje, że jeżeli rzeczywiście mamy w charakterze narodowym brak wytrwałości, to przecież niekiedy udaje nam się odnosić zwycięztwo nad tą przeszkodą najfatalniejszą we wszelkiej pracy organicznej. Owszem, powiedzieć trzeba, że jeżeli tę chorobę naszą podziela w znacznej części Galicja, to przecież w innych częściach Polski nie jest ona wcale tak dalece endemiczną, jak w tej do której my należymy. Więc na charakter narodowy zwalać wszystkiego się nie godzi.

Mnie się zdaje, że główną przyczyną tego, że tak słabi jesteśmy, że siły nasze wyczerpują się tak łatwo, nie jest wrodzona wada organizmu, ale że to są skutki złej kuracji. Jedenaście lat temu przebyliśmy gwałtowną gorączkę, ale potem nadużyto zimnych okładów, w celu przyprowadzenia nas do zdrowia. W receptach codziennych zapisywali nam lekarze nasi „aby tylko niezawiele zapału“, niezważając że stygniemy i skorupiejemy powoli. To też teraz ilekroć wezmiemy się do czego, przychodzi nam po niejakim czasie refleksja, czyśmy przypadkiem przeciw recepcie nie zgrzeszyli, obwijamy się przelęknieni w mokre kompresy i pozostawiamy na łasce Bożej rzecz rozpoczętą. Jeżeli tak dalej pójdzie, możemy być wprawdzie pewni, że gorączki nie dostaniemy, ale lękam się czy nie będziemy dostawali febry z obawy aby nas się nie chwyciła gorączka, ilekroć do gorączki znajdzie się sposobność.

Że kuracja była fałszywą, dowodów na to nie potrzeba szukać daleko. Powiedziano nam, że praca organiczna rozwijać się będzie mogła tylko wtedy, gdy się do niej zabierzemy spokojnie, zimno i rozważnie. Przyjęliśmy ten aksjomat, staliśmy się spokojni i chłodni, a rozważni i oględni aż do przesady, i przekonaliśmy się, że do zapowiedzianego rozwoju owej pracy organicznej nie przyszło. Lekarstwo może było niezłe, ale straszliwie przesadzono jego dozę.

Stało się tym sposobem złe, które nieprędko da się naprawić, złe które cała generacja odczuwa, a przyszła wychowana w obecnym kierunku, jeszcze bardziej odczuć będzie musiała. Młodzież nasza dzisiejsza jeszcze mniej jest zapalona od nas, którzyśmy gorączkowali kiedyś, a potem wyleczyli się z tego, bo na nas tylko przez czas pewien nadużywano kuracji hydropatycznej, a ona wzrosła pod prysznicem. Czas przecież, ażebyśmy spostrzegli, że i zimna woda nie stanowi panaceum, tak samo jak kamfora Raspaila lub Revalescière p. du Barry, i żebyśmy po wyleczeniu się tak stanowczem z gorączki, zaczęli się teraz leczyć ze skutków zanadto radykalnej kuracji niezrażając się tem, że jak w medycynie tak i w życiu narodów, ta druga część kuracji trudniejszą jest zazwyczaj i dłużej trwa niźli pierwsza.

Wł. Sabowski.

Ze świata naukowego.

Czy znali Fenicjanie i Kartagińczycy Amerykę?

Nie nowe to pytanie — odpowie niejeden — był czas gdzie większość antropologów na nie się zgadzała, z czasem jednak ubywali z tego obozu pojedyńczy uczeni a dziś rzadkością jest znaleźć pracę zajmującą się tym przedmiotem!

Najnowszy zeszyt czasopisma „Archiv für Antropologie“ (Braunschweig 1874) zawiera pod powyższym tytułem pracę dr. Hartogha van Zontoveen z odpowiedzią Frantziusa — a choć na oko zdawałoby się, iż ten ostatni zbił zdanie pierwszego, to jednak sama redakcja Archiwu widocznie zdanie to najmniej szanuje, gdyż takowe do swego pisma przyjęła. Rozpatrzmy się przeto w tej pracy jak nie mniej w odpowiedzi Dr. Frantziusa i wypowiedzmy na tych podstawach oparte nasze zdanie.

Wysłany w r. 1576 przez rząd hiszpański Dr. Diego Garcia de Palacio do środkowej Ameryki, podaje w urzędowem swem sprawozdaniu o prowincjach Salvador i Honduras opis, już w owym czasie bujną wegetacją zarosłych, ruin miasta Copan, dodając, iż ruiny budowli tych co do stylu nie mogą być wcale poczytywane za ruiny budowli, ówczesnych mieszkańców Honduras, zaledwie na pierwszym stopniu cywilizacji stojących; i że takowi nic o ruinach tych powiedzieć mu nie byli w stanie, z czego Dr. Zontoveen słuszny wyciąga wniosek, iż Aztekowie nie mogli być założycielami tego miasta. W meksykańskiej prowincji Hiapas leżą około wsi Palenque, ruiny miasta, które co do stylu do tej samej cywilizacji należą, co powyższe ruiny w Copan. Ponieważ i tu żadne podanie nie donosi, iżby mieszkańcy właściwi tych stron takowe zbudowali, więc wniosek ztąd iż na 2000 lat temu to jest przed drugą punicką wojną, jacyś obcokrajowcy miasta te wystawili. Na murach leżącego dziś w gruzach miasta Palenque znajdują się płaskorzeźby, które dwie odrębne rasy ludzi przedstawiają. Pierwsza, rasa zwycięzców, z wielkiemi oczyma, wyniosłym nosem, niskiem czołem i niezarośniętą brodą jest bezwątpienia pierwotną amerykańską rasą, druga, rasa zwyciężonych, którą zwycięzcy zabijają, nie podobną jest do żadnej amerykańskiej lecz przypomina pokolenia Semitów i Kuszytów przedniej Azji, ma proste czoło, małe oczy z wielkiemi brwiami, kabłąkowaty nos, który jednak nie wystaje tak jak u poprzedniej i nakoniec nosi zarost.

Na płaskorzeźbach w Palenque przedstawione są także głowy słoni a ponieważ w Ameryce nie ma słoniów, przeto jest to jednym dowodem więcej, iż były połączenia z ludami starożytnego świata, zwłaszcza, iż podejrzenie jakoby to były głowy mastodonów już tem samem odparte być może, że brakuje łbom tym kłów do góry zwróconych.

Lud, który ciało słonia wyrzeźbiał, musiał znać to zwierzę, którego to Kartagińczycy w swych wojnach najwięcej używali. Przed 2000 laty byli Kartagińczycy j e d y n y m narodem, który posiadał słonie i zarazem dosyć wielkie okręty, aby je do Ameryki przewieść można. Szybkość fenickich i kartagińskich okrętów mało co była mniejszą od dzisiejszych parowców.

Dr. Zontoveen zbiera następnie podania pisarzy starożytnych o stałym lądzie na Atlantyku — i twierdzi, iż krajem tym może być albo jaka grupa wysp, albo zachodnia część Europy, albo część zachodnia Afryki lub nakoniec Ameryka.. Diodorus powiada, iż w kraju zaatlantyckim znajdują się rzeki spławne — a na oceanie atlantyckim nie ma wyspy, któraby takowe posiadała. Plutarch wkłada Sulli w usta opowiadanie, iż mówił w Kartaginie z cudzoziemcem, który był na wyspie Ogigia po za słupami Herkulesa — na północny zachód od tej wyspy zaś leżała druga wyspa a obie leżały w zatoce — co może przypominać Antyle i zatokę meksykańską. Z życia Sertoriusa zaś powiada Plutarch, iż tenże widział okręt, który przypłynął z dwóch wysp zaatlantyckich o 10000 stadij od Hiszpanji odległych. Teopompos powiada iż „Meropidzi“ mieszkają na wyspie, która dalej leży niż Libja i wyspy atlantyckie, i że w kraju ich wielkie miasta się znajdują a taka jest obfitość złota, iż mniejszą ono posiada wartość niż żelazo — co przypomina Meksyk. Avienu powiada bardzo stanowczo, iż oprócz „orbis“ (Europy Azji i Afryki) znajduje się jeszcze drugi „orbis“ pod czem przecież Azorów lub Madejry rozumieć nie można. Nie mniej stanowczo powiada Platon gdy wkłada w usta egipskich kapłanów słowa: „Była wyspa naprzeciw cieśniny morskiej, którą wy słupami Herkulesa zowiecie. Wyspa ta była większa niż Libja i Azja razem wzięte“. W innem miejscu powiada Plato iż została ona odkrytą przez Posejdona (który jest pierwotnie fenickim bogiem) i została podzieloną między bliźnięta Gadirus i Atlas co przypomina kartagińskie (Atlas) i hiszpańsko-fenickie (Gadirus-Kadix) osady. Gdybyśmy przyjęli, iż Fenicjanie z Hiszpanji, używali do tych zaatlantyckich podróży, iberyjskich, albo w powrocie amerykańskich majtków — to wytłumaczyćby można ztąd niezaprzeczone podobieństwo mowy Basków z mowami pierwotnemi amerykańskiemi. Arystoteles i Seneka powiadają, iż przez słupy Herkulesa wypłynąwszy można w kilku dniach do Indji zawinąć. Czyż nie polega to na tem fałszywem mniemaniu, na którem opierając się Kolumb przy pierwszych swych odkryciach sądził, iż znajduje się w Indji?! i czyż z tego nie wynika iż Arystoteles i Seneka mieli jakieś pewne podanie o tym zaatlantyckim kraju?! W Pseudo-Aristotelesie czytamy, iż Kartagińczycy bojąc się, aby osady nie oderwały się później od miasta macierzyńskiego, zakazywali puszczającym się na otwarte morze powrotu!

Popol-Vuh, święta księga pierwotnych mieszkańców Gwatemali opowiada, iż przed dawnemi bardzo czasy wylądował w Meksyku dowódzca Quelzalcohualt z 20 towaszyszami. Quelzalcohualt był biały, miał długą czarną brodę i długie czarne włosy. Przy odkryciu Ameryki przez Kolumba nie mieszkał tamże żaden biały szczep a tylko niektórzy Indjanie mieli brody. W ubraniu Quelzalcohualta i jego towarzyszy poznaje się łatwo tunikę starożytnych — nosili oni bowiem długie suknie z czarnego płótna lub sukna bez kołnierza, na szyi okrągło wykrojone, z szerokiemi rękawami, które nie zakrywały łokci. Wylądo-

wawszy w Panuco przeszli do Tulla w Gwatemali, obrabiali złoto i srebro, znali się na różnych rzemiosłach i posiadali wiadomości o uprawie roli. Po upływie pewnego czasu powrócił Quelzalcohualt do Orientu obiecując że ich znowu odwiedzi. Gdy Kortez w Meksyku wylądował, myśleli Meksykanie, że jest to ów w owym czasie do rzędu bóstw wyniesiony Quelzalcohualt lub jeden z jego potomków. Starożytne peruańskie podanie wspomina, iż pierwszą kulturę przynieśli biali, brodaci ludzie, którzy ze wschodu przybyli. Najdawniejsze podania Irokezów mówią o obcym narodzie, który przybywszy na okrętach wylądował na południu, rozrodził się znacznie i pobudował twierdze. Później pobito ich i wypędzono. Następnie przybyli znowu i ulegali czas niejaki mieszkańcom, zostali jednak przez Irokezów w bitwie pod Onodaga na głowę pobici, na północ odpędzeni i z kraju wygnani. Irokezi nazywali naród ten „kamiennymi olbrzymami.“ (D. n.)

O meteorytach, bolidach i gwiazdach spadających

napisał

Dr. W. URBANSKI.

(Ciąg dalszy).

Bardzo ciekawem zjawiskiem jest także grad kamienny, który spadł 26. kwietnia 1803 r. między godz. 1szą a 2gą po południu koło *l' Aigle* w departamencie Orne. Dnia tego w Alençon, Falaise, Caén i innych okolicznych miejscach, widziano w rzeczonym czasie wielką kulę ognistą na pogodnem niebie, biegnącą bardzo prędko w kierunku od południowego wschodu na północny zachód. W kilka chwil potem ukazała się koło l' Aigle na niebie mała ciemna chmurka, z której przez 5 do 6 minut dawały się słyszeć ciągle wybuchy, na kształt strzałów armatnich, śród bicia w bębny i nieustającej to słabszej to znowu silniejszej pukaniny karabinowej. Przytem od nieruchomej prawie chmurki odrywały się wciąż mniejsze i większe kawałki bez rozwinięcia jakichkolwiek zjawisk światła, a tymczasem padał formalny grad kamieni ze straszliwym łoskotem na eliptycznej przestrzeni dwumilowej. Spadło wszystkiego około 2 do 3 tysięcy kamieni. Największy ważył 18 funtów, najmniejszy ośm gramów. W kilka dni stężały one więcej, niż były zaraz po spadnięciu.

Akademja paryska otrzymawszy od swego korespondenta p. Leblonda wiadomość o tem szczególnem zjawisku, wysłała do l' Aigle najmłodszego członka, Biota, który przesłuchał świadków 20 wsi, sprawdził wszystkie okoliczności temu zjawisku towarzyszące i przywiózł ze sobą do Paryża pewną ilość spadłych kamieni z najzupełniejszem przeświadczeniem, że ów grad kamienny był skutkiem pękania bolidu w bardzo znacznej wysokości. Dopiero jego sprawozdanie zmusiło nareszcie tę uczoną korporację do uznania aerolitów za fakt, znany już dawno prostaczkom. Analiza chemiczna, lubo jeszcze niedokładna, wykazała w tych kamieniach krzemionkę, magnezję, żelazo, nikel, siarkę i tlen.

Koło Westonu w Północnej Ameryce, uważano 14. września 1807 r. ognistą kulę, która p o d s k a k u j ą c posuwała się na niebie. Eksplodowała trzy razy i na przestrzeni 10 mil angielskich długości rzuciła wiele kamieni, które znachodzono jeszcze miękie w stanie gorącym. Miały na sobie czarną skorupę i stwardniały później. Największy ważył 35 funtów.

W r. 1821 dnia 15. czerwca spadł wielki kamień z kilkoma mniejszemi koło Juvinas w departamencie Ardéche. Ważył około 220 funtów. Chłopów na polu przy robocie, myślących że cała zgraja djabłów zleciała się do nich powietrzem, ogarnął strach paniczny. Zajęci polecaniem duszy Bogu, jak gdyby ostatnia wybiła ich godzina, nie byli nawet w stanie uważać przebiegu zjawiska. Dziatwa jednak obserwowała takowe i wskazała miejsce, gdzie spadł wielki kamień. Ale przez ośm dni nikt się nie odważył wydobyć go z ziemi, bo niemal wszystko, co żyło, było tego zdania, że w pobliskości niego ukrył się szatan. W tych kamieniach znaleziono mięszaninę brunatnego augitu i białego anortytu a między niemi małe kryształki magnetycznego pirytu.

W r. 1847 dnia 14. lipca o godzinie 3ej i 46 minucie rano spadły w Czechach koło Braunau z czystego nieba bez chmurek śród grzmotów dwa kamienie: jeden ważący 46 funtów i 6 łutów (znajduje się obecnie w mineralogicznym gabinecie wiedeńskim) a drugi 30 funtów wagi (przechowany w Braunau w klasztorze.) Dwa gwałtowne tuż po sobie następujące wybuchy, jak gdyby wystrzały z dział ciężkiego kalibru, zbudziły ze snu mieszkańców tego miasta i okolicznych wiosek. Na całym południowym krańcu szląsko-czeskiego pasma gór aż do hrabstwa Glatz było słychać w powietrzu świst i szum. Na północno-wschodniem niebie miasteczka Braunau, nad samem siołem Hauptmansdorf, ukazała się mała czarna chmurka, która naraz mocno zajaśniała i posyłając pioruny na wszystkie strony, wylała z siebie dwie smugi ognia na ziemię, poczem wspomniany dopiero wybuch gwałtowny nastąpił. Powszechnie myślano, że piorun uderzył tuż za wsią w rolę. Nadleśniczy jednak, nazwiskiem Pollak, przekonany, że to spadek meteorytu, kazał zaraz szukać go w miejscu przez naocznego świadka Józefa Teppera wskazanem i znalazł w głębokości 3 stóp rozżarzoną masę, której nie można było się dotykać jeszcze w sześć godzin po spadnięciu; tak była gorąca! Był to ów większy kamień. Mniejszy na kształt piorunu spadł na dom, o ćwierć mili od Braunau odległy, przebił dach, sufit i podłogę i okazał się później we wszystkiem podobny do pierwszego. Odłamy obydwóch przeszły do różnych większych zbiorów mineralogicznych.

Dnia 14. maja 1864 r. widziano we wielu miejscowościach południowo-zachodniej Francji równocześnie wielką kulę ognistą z ogonem, mającą podobieństwo i rozmiary księżyca w pełni. Kula ta pękła z grzmotowym hukiem, a w pobliskości wioski O r g u e i l w departamencie Garonne znaleziono około 20 kawałków meteorytu, mających różną wielkość, od kułaka aż do wielkości głowy ludzkiej. Według sprawozdania Leverriera można między niemi na ich czarnej skorupie rozeznać te, które były osobnemi masami przed eksplozją, od tych, które dopiero powstały z rozpęknięcia się większej masy na drobniejsze kawałki. Meteoryt w mowie będący dla tego jest bardzo ważnym nabytkiem dla nauki, że główna jego część składowa jest węgiel, co tylko u trzech jeszcze obserwowanych meteorytów zauważano. Różni się on jednak od nich wielkim zasobem połączeń chlorowych, wskutek czego byłby wydawał z siebie salmiak i wodę, gdyby ciepło z utraty chyżości biegu powstałe, było miało dosyć czasu do ogarnienia na wskróś całej jego masy, co wszakże tu nie nastąpiło. (D. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Znakomitość. Nowella oryginalnie napisana przez J. — Warszawa. 1874.

Autor wprowadza w tej nowelli czytelnika w dom byłego właściciela tabularnego, który straciwszy przez dobroduszność majątek wiejski, z resztek ocalonej fortuny żyje w małem miasteczku. Do niego to przyjeżdża redaktor „Gazety Porannej“ pod pozorem założenia kasy zaliczkowej, a właściwie dla poznania jego córki, panny Janiny, którą syn pana redaktora Henryk, dyrektor fabryki w Szczawnicy, poznał i pokochał. Oto krótka treść powyższej nowelli. Pojedyncze rysy i epizody są w niej z życia czerpane, a ciekawość budzą sytuacje zręcznie z sobą splecione. Z osoby skromnego a zacnego redaktora, mieszkańcy małego miasteczka robią „znakomitość“ która ma jakąś ważną misję dyplomatyczną w okolicy do spełnienia, a z doniesień telegraficznych synowi o pannie Janinie, wiadomości o rezultacie politycznych zabiegów. Przedewszystkiem zabawnem jest krzątanie się dygnitarzy małomiejskich około porządku w mieście, by pan redaktor „nie opisał w gazacie“. Postać gospodarza, u którego nasz redaktor gości, znakomicie oddana. Trrdni on się bowiem teraz wyłącznie polityką, ciocia zaś interesuje się nierównie więcej zakochaną parą, których losy są opowiadane w drukującym się właśnie fejletonie gazety. Ile razy gospodarz chce się dowiedzieć o wypadkach europejskich, wpada ciocia z zapytaniem, czy bohaterka fejletonowa wyjdzie za swego kochanka. Ustępów podobnych znajdziemy więcej w powyższej nowelli, która w tej gałęzi naszej literatury powieściowej niepoślednie zajmie miejsce.

Spuścizna po nieznajomym. Kraków 1875.

„Są cnoty, które tylko na polskiej kwitną ziemi, są ludzie, których tylko ta w największej nawet niedoli wydaje kraina“. Temi słowy wprowadza K. Wł. Wójcicki czytelnika do „Spuścizny po nieznajomym“. Istotnie nieznajomy, jak się od wydawcy w słowie wstępnem dowiadujemy, jest takim człowiekiem. Kiedy go zawiodły najdroższe serca nadzieje, osiadłszy na wsi pracował umysłowo całe życie; — założył bibljotekę, galerję obrazów, przytem rzucał pomysły, szkice, bądź prace obszerniejsze opracowywał wszechstronnie i gruntownie. Pożar jednak dworu nie pozwolił mu cieszyć się owocem pracy swojej. Bibljoteka i galerja obrazów zginęły, z pism zostały tylko resztki, które dzięki przyjacielowi, wyszły dziś na jaw. Znajdzie tu czytelnik szczególnie w części II. prześliczne obrazki i opowieści, w części zaś trzeciej postacie z przeszłości a wszystko opowiedziane jędrnym językiem przez obywatela kraj szczerze miłującego.

— Z dawnych dziejów i wspomnień naszego stulecia, napisał K. Wł. Wójcicki. w Krakowie 1875. Nakład Himmelblaua.

W tej pracy podaje nam autor kilka zarysów z naszej przeszłości jak: Stanisław i Janusz książęta Mazowieccy 1518—1526. Ostatnia karta z dziejów udzielnego Mazowsza. — Charakterystyka dawnych Mazurów. — Książe Biały. — Jan Karol Chodkiewicz w rodzinnem życiu. — Bartnictwo w dawnej Polsce. — Kazania szlacheckie. — Flis na fryjorze. — Ostatni Kulig Staropolski. — Stary wiarus.

— Bibljoteka najnowszych podróży. V. Humorystyczna wędrówka po Wschodzie przez hrabiego de Gabriac. Przekład z francuskiego. Warszawa. 1874.

— Krakowiaki i mazurki z okolic Krakowa zebrał Oskar Kolberg. Kraków. 1874.

Krakowiaki te i mazurki są wyjęte z niedawno wyszłego dzieła tego autora pod tyt. „Lud jego obyczaje i zwyczaje“ Serja VI.

Angielska.

— Speeches of Edward Lord Lytton, now first collected. With some of his Political Writings hitherto unpublished, and a Preface Memoir by his Son. 2 Vols. London. 1874.

Lord Lytton, powszechnie pod imieniem Bulwera znany i ceniony powieściopisarz angielski, odznaczył się też nie mniej jako mówca parlamentarny. Najznakomitszą mową, którą pomyślny uwieńczył skutek, była ta, którą wygłosił za zniesieniem czasu nauki u murzynów. Teraz otrzymujemy zbiór wszystkich mów Bulwera. Dokładnie opracowana przedmowa daje nam poznać Bulwera jako polityka i przedstawia całą jego działalność na polu parlamentarnem.

— The Life of Henry John Temple, Viscount Palmerston; with Selections from his Correspodence. By the late Right Hon. Sir Henry Lytton Bulwer (Lord Dalling) Vol. III. Edited by the Hon. Evelyn Aschley, M. P. 1874. London, Bentleys son.

Poprzedzające dwa tomy mieszczą w sobie biografję Palmerstona po rok 1841 i zajmują się po największej części zewnętrzną polityką tego męża stanu skreśloną ręką Lordą Darnlinga. Z fragmentów po Darnlingu pozostałych utworzył się obecnie tom. Zajmuje on się już więcej wewnętrzną polityką Palmerstona i kreśli wypadki od r. r. 1842 do 1848 podając korespondencje tegoż od r. 1835 do 1847.

— Steiger, E., the periodical literature of the United States of America. With index and appendices. New-York, 1873.

Księgarz z Nowego Jorku, E. Steiger, zebrał 6.000 różnych gazet i perjodycznych wydawnictw Stanów Zjednoczonych, uporządkował takowe i w 119 dużych tomach przedłożył wystawie wiedeńskiej. Z tych 119 tomów przypadło 15 na samo miasto Nowy-Jork. Zawierało to jednak zaledwie $^{3}/_{4}$ części prasy perjodycznej — ogólna suma tejże wynosi bowiem znakomitą liczbę 8700 dzienników i czasopism perjodycznych. Obecnie cały ten materjał ujął Pan Steiger w katalog i zaopatrzył indeksem w angielskim, niemieckim holenderskim, francuskim, włoskim i hiszpańskim języku. Prócz tego dodany jest spis gazet, które wychodzą w Ameryce w innym jak angielski języku, mniej spis dzieł oryginalnych i tłumaczonych, które w ostatnich latach wyszły w Ameryce w angielskim języku.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Komitet zawiązany w celu nabycia obrazu „Unia lubelska" Matejki, wydał następującą do kraju odezwę:

„Obywatele!

Jedną z najświetniejszych chwil dziejowej przeszłości narodu naszego jest chwila, gdy w obec Boga wszechmocnego zaprzysięgały sobie: Polska, Ruś i Litwa dozgonną miłość i wiarę. Jednym z najznakomitszych utworów sztuki nowoczesnej: jest obraz rodaka naszego, Matejki „Unia lubelska", przedstawiający ową wiekopomną chwilę przysięgi króla Zygmunta Augusta i zastępców trzech ludów. Obraz ten, arcydzieło, jakich sztuka nowoczesna mało wyliczyć może, dzieło ziomka naszego, który swemi utworami zdobył sobie tak szczytne w rzędzie artystów europejskich stanowisko, a imię Polski nową okrył chwałą, obraz ten nie znalazł dotychczas w kraju naszym nabywcy. Zbyt mało między nami bogatych. Czemu jednak nie podołają siły jednego człowieka, temu podołają z łatwością przy dobrych chęciach siły zbiorowe ogółu. Myśl wielokrotnie poruszana, zakupienia „Unii", groszem złożonym przez kraj cały, na rzecz kraju może być teraz urzeczywistnioną. Na zgromadzeniu dnia 3 października r. b. we Lwowie odbytem, wybrany został komitet, któremu poleciło zgromadzenie zająć się zebraniem w drodze składek dobrowolnych, funduszu na zakupno „Unii" potrzebnego. Owóż w imieniu tego komitetu uzyskawszy od szanownego artysty przyrzeczenie odstąpienia „Unii" za kwotę 30,000 guldenów, a od wysokiego c. k. Namiestnictwa zezwolenie zbierania składek, stajemy ze skarbonką, prosząc o datki. Kwota 30,000 guldenów dla kraju o 6,000.000 ludności jest stosónkowo tak małą, że znając ofiarność Waszą, tam gdzie jej celem jest sprawa narodowa, z otuchą zupełną odzywamy się do Was, obywatele, pewni, że już w krótkim czasie złożycie tyle, iż będziemy mogli sprowadzić obraz do Lwowa. — Skarbnikiem komitetu jest poseł na sejm krajowy dr. Filip Zuker, mieszkający w gmachu galicyjskiej kasy oszczędności, upoważniony do wystawiania pokwitowań za wszelkie komitetowi nadesłane datki.

Rezultat składek będzie o ile możności jak najczęściej i jak najdokładniej podawany w dziennikach do wiadomości publicznej.

We Lwowie 25 listopada 1874.

Ludwik Skrzyński, prezes komitetu Dr Marceli Tarnawiecki, zastępca prezesa.

Członkowie komitetu, ściślejszego:

Witold hr. Borkowski, Edward Ksawery hr. Fredro, Edward Füller, ks. Karol Mossing, Henryk Rodakowski, Włodzimierz hr. Rusocki, Ludwik Wierzbicki, dr. Wiktor Zbyszewski; Sekretarz: Edward Błotnicki. Skarbnik: Dr. Filip Zuker."

— Na medal na uczczenie pamięci pomordowanych włościan na Podlasiu złożyli u nas po 3 złr. pp: Nęcki, Szczepanowski i Marjan Rubczyński — razem 9 złr.

Literatura, sztuka i nauka.

— W sprawie „Studyów Platońskich", ułożonych przez Dra. Zygmunta Samolewicza, otrzymujemy jeszcze następujące pismo:

Szanowny Redaktorze! Jakkolwiek po tem wszystkiem, co zaszło od czasu wręczenia przezemnie Szanownemu Panu mojej recenzji o „Studyach Platońskich" wszelki spór z ich autorem był by dzisiaj z mojej strony już może nie na miejscu, nie mniej jednak zdziwiłem się, przeczytawszy w jedenastym numerze Tygodnia zagadkowe te słowa pana Samolewicza „że dla wspomnień z lat ubiegłych, jakie nas łączyć mają, on sam nie może ze mną żadnego wieść sporu". Ponieważ mnie nie znane są żadne fakta z tych lat ubiegłych, które to fakta szczegółowo by tego dowieść mogły, że p. S. rzeczywiście nie może ze mną wdawać się w spór w kwestji, niemającej zresztą wcale nic wspólnego z naszą dawną znajomością, którąby teraz za przypadkową tylko uważać należało — żałować więc tylko mogę, że p. S. wymówił się tak od naukowej ze mną polemiki, do jakiej jedynie oświadczyłem był moję gotowość. Gdyby bowiem takowa od razu podjętą była została w sposób godny badań filozoficznych, byłoby to może wyszło na większą korzyść dla nauki, której święte prawa wypadało mi wziąć w obronę z obowiązku wobec filozofji, której wzniosła etyczna cecha także i we wszystkich jej pomocniczych naukach poważaną być winna.

Jeżeli przeto i dziś jeszcze tego konieczna potrzeba, więc zgadzam się i ja z panem Samolewiczem chętnie na to, abyśmy jeszcze czekali na zupełnie już bezstronny wyrok tego idealnego krytyka, któremu ośmieliłem się podać dokładne wskazówki, wedle jakich by musiał postąpić, oceniając po mnie szczegółowo te „Studya Platońskie". Jeżeli jednak w rzeczywistości on się nie zjawi, w takim razie wolno mi przecież będzie uważać ewentualne to milczenie ze strony fachowych ludzi, za formalne przyznanie mi zupełnej słuszności. Kto oceniał rozprawę pana S. zanim ją ogłoszono w Pamiętniku Akademji, tego nie starałem się nawet dowiadywać, gdyż takie względy dla całkiem przedmiotowej krytyki naukowej muszą być obojętne. Dowiedziałem się o tem od W. Pana Dra E. Burzyńskiego dopiero w chwili gdy rzecz moja była już odbitą. Nadmieniłem zresztą ogólnie już w mojej recenzji, dla czego uczeni referenci, czytając te „Studya" posłane aż do Akademji, nie mogli zwrócić na to swojej uwagi, co moję w nich wyłącznie zajęło. Dlatego sądzę, że i oni, mając jedynie interes nauki na względzie, dzisiaj tem bardziej nie omieszkają zająć całkiem bezstronnego w tej sprawie stanowiska.

Co do owego tonu mojej krytyki, który tak niemile miał dotknąć autora "Studyów" to w końcu oświadczyć muszę, że o pozornych badaniach nigdy inaczej nie pisałem i pisać nie mogę.

Przyjm Szanowny Redaktorze zapewnienie rzetelnego odemnie szacunku,

Lwów d. 30 listopada 1875.

Dr. A. Skorski.

Listem powyższym zamykamy ostatecznie spór między Dr. Skorskim a Dr. Samolewiczem, i czekać będziemy na wyrok badaczów, na których powołał się autor „Studyów Platońskich". Spodziewamy się że ten wyrok wkrótce się pojawi, gdyż w razie przeciwnym zupełna przegrana musiałaby być po stronie Dr. Z. Samolewicza.

— W sobotę d. 28. bm. we Lwowie pięknym corocznym obyczajem odbył się uroczysty obchód rocznicy śmierci Adama Mickiewicza, przy niezwyczajnym natłoku publiczności na galerjach i w sali, gdzie z wielką pociechą widzieliśmy przedstawicieli wszystkich sfer. Nie będziemy szczegółowo rozbierali wszystkich numerów programu wieczoru tego, zanotujemy tylko, że duch młodzieńczego zapału i czci dla idei propagowanych przez nieśmiertelnego wieszcza — wiał z pięknego odczytu p. Chylińskiego, a najmniejszy dyssonans w reszcie programu nie zepsuł uroczystej harmonji zgromadzenia. Wzruszającem i pełnem krasomówczych zwrotów przemówieniem zakończył obchód dr. Euzebjusz Czerkawski. — Na podobnej uroczystości w Krakowie zebrano na pomnik dla Mickiewicza przeszło 200 złr. Piękny i dawno pożądany początek.

— Wyszedł w Krakowie w języku francuskim katalog obrazów dawnych i nowszych mistrzów włoskich, flamandzkich, holenderskich, niemieckich, francuskich, i polskich a własnością p. Władysława Kowalskiego będących. Spis ten obejmuje 108 obrazów, które mogą być nabyte razem lub częściowo. Czytamy w tym spisie nazwiska Tyciana, Julio Romano, Carlo Dolce, Antonelli, Dolabelli, Teniersa, Wouwermana, Rubensa, Jordaensa, Berghema, Ostade, Poussina, Watteau, Davida, Czechowicza, Kossaka, Peszkago itd. oraz wiele portretów historycznych polskich.

— Juliusz Favre kończy właśnie obszerne dzieło, w którem będzie zawarta szczegółowa historja „Rządu obrony narodowej" i rokowań względem zawarcia pokoju między Niemcami a Francją.

— W Strasburgu dnia 15. przesz. m. zawiązało się towarzystwo wzajemnej pomocy dziennikarzy i literatów alzacko-lotaryńskich. Celem jego obrona i poparcie wspólnych interesów, rozstrzyganie sporów między członkami na drodze polubownej, rozdzielanie zapomóg dla potrzebujących członków i wreszcie zebranie stałego funduszu emerytalnego.

— W paryskim teatrze „Porte St. Martin" przedstawiono po raz pierwszy d. 7. b. m. nową sztukę czarodziejską pt: „Podróż na około świata w 80 dniach." Jest to utwór przerobiony ze znanego romansu Juliusza Verne. Wystawa sztuki jest świetna: Paryż nic podobnego dotąd nie widział. Publiczność tłumnie odwiedza teatr. Kilkaset przedstawień z rzędu dyrekcja ma zapewnionych.

— Austrjacki minister wyznań i oświecenia pozwolił wiedeńskiej Akademji sztuk pięknych zakupić tak zwaną księgę rzymskich portretów, która należy do spuścizny Juliusza Schnorr. Dzieło zawiera w 19 rysunkach galerję najznakomitszych osobistości z młodych lat artysty, między niemi portrety Overbecka, Rückerta, Thorwaldsena i innych. Żaden z tych rysunków nie był dotąd skopiowany.

— W teatrze Chatelet w Paryżu d. 17. p. m. dawano pierwszy raz nową operę „Les Amours du Diable" Grisard'a, z wielkiem powodzeniem.

— W teatrze, Wiktora Emanuela w Turynie odbywają się nowe próby z nowej opery „Conte Verde." Twórca jej nazywa się Libani.

Gospodarstwo.

— Oddawna już zastanawiają się naturaliści nad pytaniem, o ile lasy przyczyniają się do utrzymania wilgoci w powietrzu i częstych deszczów. We Francyi badają to sumiennie od lat kilku. Panowie Fautrat i Sartiaux zakomunikowali teraz Akademji umiejętności następujące wyniki swoich badań: Ustawili oni pewną liczbę deszczomiarów w wielkim lesie d' Halatte, na północ od Senlis, i równą liczbę na powierzchni odkrytej. Po sześciu miesiącach przekonali się, że pierwsze deszczomiary zebrały $192^{1}/_{2}$ milimetrów wody, a drugie tylko 177 milimetrów. Na korzyść lasów przypada zatem 15 milimetrów.

— Wedle N. Hopf. Ztg. przyniósł sprzęt chmielu w krajach uprawą jego się trudniących 1870 r. 1,009,899 cent., w 1873 r. 821, 575 cent. a w 1874 r. najwyżej 395,000 cent. Z ostatnej sumy przypada prawdopodobnie na Bawarję 130,000 cent., na Wirtembergię 38,000 cent., 450,000 cent. na Czechy, 10,000 cent. na W. Księstwo Poznańskie, 40,000 na Alzacyę i Lotaryngią, 180,000 na Austrją 39,000 na Belgję i 25.000 cent. na Rosję.

Nekrologja.

— Mariano Fortuny, znakomity malarz rodzajowy, umarł dnia 22. listopada w Rzymie. Jako malarz rodzajowy należał do najcelniejszych w naszem stuleciu. Za jego „Zaślubiny hiszpańskie" zapłacono w Paryżu 75.000 franków. Drobniejsze nawet jego prace płacono po 15 i 18 tysięcy franków. Nieboszczyk był rodem Hiszpan, ale od r. 1853 mieszkał stale w Rzymie Przyjaciel nieboszczyka, br. Karol Darvillier pisze jego biografję.

ROZMAITOSCI.

— Pomimo znacznych bardzo postępów, jakie Japonja uczyniła od lat kilku na drodze przyswojenia sobie owoców cywilizacji europejskiej, pomimo zreformowania wielu narodowych obyczajów nie zgadzających się lub będących w sprzeczności z duchem pojęć społecznych ludów zachodnich, pozostał jeszcze pomiędzy innemi w Japonji obyczaj sięgający tradycją lat tysiąca, nazwany Harikari czyli samobójstwo honorowe. Szlachta japońska nie zna innego środka na oczyszczenie honoru z ciężkich zarzutów albo złych uczynków, jak własnoręczne rozpłatanie brzucha, które jednakże musi być dopełnione według przepisów odwiecznego ceremonjału, uświęconego wielowiekową tradycją. Harikari przytrafia się bardzo rzadko: nawet Europejczycy nie pewnego o tym szczególnym obyczaju powiedzieć nie byli w stanie, bo nie mieli sposobności przypatrzenia mu się z bliska; dopiero w tych czasach, z powodu mającej się odbyć urzędowej ceremonji, udało im się podać szczegółowe jej opisanie. Drugi sekretarz poselstwa angielskiego w Japonji, pan Mitford, został przeznaczony ex officio na świadka do egzekucji mającej się spełnić na osobie oficera armji księcia Bizen, imieniem Taki Zenzaburo. Ów Zenzaburo w r. 1868, podczas zaburzeń ulicznych, kazał dać ognia żołnierzom pod jego rozkazami będącym, do zgromadzonych posłów i kupców europejskich. Zbrodnia ta, gwałcąca prawa narodów, musiała być ukarana śmiercią; najwyższa władza japońska, wydając odpowiedni wyrok, wezwała poselstwa europejskie (czego jeszcze nie było przykładu), aby zechciały nadesłać na miejsce egzekucji reprezentantów czyli świadków swoich. I otóż jeden z nich, wspomniany wyżej Mitford, podaje opis ceremonji Harikari. Ponieważ obyczaj ten odwieczny japoński pod względem historycznym i etnologicznym posiada nieposlednie znaczenie, a jak dotąd przynajmniej, uważanym był przez wielu uczonych Europejczyków za bajkę, przeto podajemy opis jego do wiadomości czytelników naszych. Mikado — powiada Mitford — chcąc dać zadośćuczynienie, rozkazał, ażeby tą razą krwawa ta ceremonja odbyła się w ich przytomności w Hiogo, w świątyni Seifuki, gdzie się znajduje główna kwatera wojsk, dowodzonych przez księcia Satsumę. Oficerowie Satsuny i Choshiu prowadzili nas uroczyście do świątyni. Jakkolwiek starano się nadać całemu obrzędowi o ile możności prywatny charakter, przecie liczne tłumy ludu zaległy wszystkie wejścia, a sądząc z głośnych wyrażeń na drodze dających się słyszeć, publiczność japońska wielką bardzo wagę do niego przywiązywała. Dziedziniec świątyni przedstawiał niezmiernie malowniczy widok; porozpalane tu i owdzie ognie rzucały niepewne światło na ciężkie wiązania dachowe poświęconego modlitwie budynku i na większe lub mniejsze grupy biwakujących żołnierzy. Zaprowadzono nas do komnaty, gdzie polecono nam czekać, aż wszystkie przygotowania do uroczystego aktu ukończonemi zostaną. W pobocznych salach znajdowali się zgromadzeni wyżsi japońscy oficerowie; obserwowano cichość jak najgłębszą, nikt nie śmiał słowa przemówić, dlatego czas wyznaczony na czekanie tem dłuższym nam się wydawał. Nareszcie ukazał się Ito Shunske, gubernator Hiogo; podszedł do nas, spisał nasze imiona i zarazem oświadczył, że siedmiu Kenshi (świadków) ze strony japońskiej stawi się niezwłocznie. On i drugi jeszcze oficer przedstawiali osobę samego Mikado, dwóch zaś kapitanów od piechoty Satsuny, dwóch innych należących do armji Choshiu łącznie z posłańcem księcia Bizen i jednego reprezentanta z Klanu, do którego skazany należał, uzupełnili liczbę świadków, tak że po stronie cudzoziemców jako też krajowców zupełnie była równą. Ito Shunske zapytywał nas dalej, czy życzymy sobie pytać o co skazanego? Odpowiedzieliśmy, iż nie mamy wcale zamiaru. Po niejakiej chwili zaproszono nas wraz z japońskimi świadkami, do udania się do głównej świątyni, gdzie ceremonja odbyć się miała. Widok, jaki tam się nam przedstawiał, był rzeczywiście imponującym. Olbrzymio wysoką i szeroką salę pokrywał wyniosły dach, podpierany drewnianemi filarami; ogromna ilość pozłacanych lamp i innych ornamentacji właściwych buddyjskim świątyniom napełniała przestrzeń od dołu do góry. Przed wielkim ołtarzem estrada, wznosząca się na cztery cale po nad posadzkę, pokrytą była cała białemi matami, na środku zaś leżał rozciągnięty gruby, szkarłatnego koloru dywan. — Płonące gromnice ustawione równolegle naokoło estrady rzucały słabe i tajemnicze światło. Siedmiu Japońskich świadków stanęło po lewej stronie wzniesienia, siedmiu cudzoziemców po prawej, zresztą nikt więcej nie znajdował się w świątyni. Po chwili natężonego oczekiwania ukazał się nareszcie skazany, Taki Zenzaburo, mężczyzna szlachetnej powierzchowności, silnie zbudowany, około trzydziestu parę lat wieku mieć mogący. Odziany był w lnianą suknią świąteczną, z długiemi i szerokiemi jak skrzydła rękawami, którą Japończycy tylko w rzadkich okolicznościach na siebie wdziewają. Towarzyszyło mu oprócz jego Kaishaku trzech oficerów, okrytych wojennemi opończami w złote taśmy obszywanemi. Nazwa Kaishaku nie ma nic wspólnego z nazwą kata pełniący ten urząd jest zwykle szlachcicem a najczęściej przyjacielem albo blizkim krewnym skazanego, — właściwie jest on jego sekundantem. Tą razą wychowaniec Taki Zenzaburo z powodu wielkiej zręczności we władaniu mieczem przez przyjaciół ostatniego wybranym został do oddania mu ostatniej przyjacielskiej przysługi. Zenzaburo, mając po lewej stronie Kaishaku, szedł krokiem wolnym wprost ku japońskim świadkom i wraz z towarzyszem pozdrowił ich uroczyście. Potem obadwa zwrócili się do nas, czyniąc pokłon, w którym może więcej jeszcze uszanowania dostrzedz się dawało. Na obadwa te powitania odpowiedziano również ceremonialnemi ukłonami. Pomału i z wielką godnością wstąpił na estradę, dwa razy rzucił się na ziemię, oddając czołobitność ołtarzowi, następnie obróciwszy się do niego plecami usiadł na czerwonym pilśniowym kobiercu, mając zawsze swojego Kaishaku po lewej stronie. Pozycji tej nie zmienił już do śmierci. Wtedy wystąpił naprzód jeden z asystujących oficerów, niosąc w ręku stoliczek, jaki zwykle w świątyniach do ofiar bywa używanym. Na stoliczku leżał zwinięty papier i Wakizashi czyli krótki, ostry jak brzytwa puginał, długi na 9 i pół cali. Oddawszy to na klęczkach skazanemu, odszedł napowrót. Zenzaburo, ująwszy w obie ręce narzędzie śmierci, podniosł takowe, przycisnął z najgłębszem uszanowaniem do czoła i następnie przed sobą położył. Po zrobieniu kilkakrotnych pokłonów skazany począł mówić głosem wprawdzie cokolwiek drżącym i niepewnym, co zresztą w podobnych okolicznościach było rzeczą naturalną, lecz w którym cienia nawet bojaźni nikt nie mógł dostrzedz. „Ja sam i nikt więcej — mówił, — wydałem rozkaz przeciwny prawu, strzelania w Kobi do cudzoziemców, — a kiedy poczęli uciekać, po raz drugi ognia dać kazałem. Za to przestępstwo rozpłatam sobie teraz brzuch, a wszystkich tu przytomnych upraszam, ażeby byli łaskawi uczynić mi zaszczyt i jako świadkowie pozostać obecnymi przy spełnieniu tego aktu sprawiedliwości!" Pokłoniwszy się raz jeszcze, spuścił z siebie wierzchnie odzienie aż do pasa, obnażywszy tym sposobem cały korpus; potem czyniąc zadosyć zwyczajowi popodkładał starannie rękawy odzienia pod kolana, ażeby w chwili konania ciało nie przechyliło się i nie upadło w tył, japoński bowiem szlachcic umierając powinien zawsze twarzą padać naprzód. Silną i pewną ręką pochwycił za puginał przed nim leżący. Przypatrując mu się przez chwilę w milczeniu, zdawał się wszystkie swoje myśli po raz ostatni zbierać i nagle po upamiętaniu wbił głęboko puginał w lewą stronę brzucha, przeciągnął go powoli aż do prawej strony i obróciwszy w rozwartej ranie, popchnął cokolwiek do góry. Podczas tej okropnej i wstrętliwej operacji żaden muszkuł nie poruszył się na jego twarzy. Kiedy wyciągnął puginał, przechylił się naprzód, nadstawiając szyję; wtedy przebiegł po jego obliczu wyraz boleści, lecz nie zdradził go żadnym jękiem. W tej samej chwili powstał na nogi siedzący aż dotąd po lewej stronie Kaishaku, który bacznie przypatrywał się wszystkiemu, i machnął z całej siły mieczem w powietrzu. Rozległ się ciężki stłumiony, przeraźliwy odgłos; — od jednego cięcia głowa spadła z kadłuba! Co uczyniwszy Kaishaku zrobił ceremonjalny pokłon i zszedł z trybuny. Skrwawiony puginał podniesiono uroczyście jako dowód spełnionego aktu. Potem ruszyło z miejsca dwóch przedstawicieli Mikady a przechodząc około nas, wezwali abyśmy zaświadczyli, że wyrok śmierci na Taki Zenzaburo, podług prawa wiernie wykonanym został. — Ponieważ rzecz była skończona, opuściliśmy natychmiast świątynię. Dały się słyszeć z rozmaitych stron głosy, iż dla przedstawicieli mocarstw zagranicznych byłoby może polityczniej, gdyby w ostatniej chwili wmięszali się w sprawę i zażądali ułaskawienia Zenzabury. Kwestja ta w poselstwach była nawet dyskutowaną, lecz wyrażono przekonanie, że jeżeli od niektórych wyżej ucywilizowanych klanów, krok taki mógłby być dobrze przyjęty, przecie w oczach dzikiego jeszcze motłochu japońskiego, uchodziłby niezawodnie za słabość, za bojaźń tylko i najgorsze skutki w następstwie byłby w stanie sprowadzić. Przewinienie Taki Zenzabury należało do rzędu najcięższych, jakich w ostatnich czasach w Japonji się dopuszczono; targnięcie się na flagi mocarstw zagranicznych, rozlew krwi niewinnie wytoczonej musiały zostać przykładnie ukarane. A ponieważ kara podług wszelkich form prawnych i tradycyjnych wykonaną została, więc w oczach Japończyków uchodziła za słuszną i sprawiedliwą.

— Z Turkiestanu donoszą „Gołosowi" o straszliwej ospie grasującej pomiędzy Kałmukami. Szczegóły te są tak przerażające i charakterystyczne, że nie możemy się wstrzymać od przytoczenia ich tutaj. „Straszliwa ta choroba, pisze korespondent, stale sobie obrała mieszkanie pomiędzy tutejszą ludnością: jeżeli niknie z jednego aułu to tylko dla tego, ażeby wnet pojawić się w drugim, a niekiedy ogarnia całą koczującą gminę i sroży się w niej przez całą zimę i lato. To też Kałmucy uczuwają prawdziwą zgrozę przy zbliżaniu się tej plagi i uważają ją za karę niebios; nie wymawiają nigdy jej nazwiska, a wspomnienie choćby o niej nawet za ciężki grzech się u nich poczytuje. Skoro choroba ta pojawi się w jakiej rodzinie, wszystkie węzły krwi i przyjaźni się rozrywają; częstokroć w takim razie Kałmuk porzuca matkę, żonę, dzieci siada na koń i ucieka daleko od swojej kibitki, która mu zwykle za schronienie i ognisko domowe służy. Namiot i sprzęty nieszczęśliwca zmarłego na ospę nie znajdują dziedzica i na zniszczenie idą. Jeżeli plaga ta ogarnie namiot jaki w zimie, wszystkich dotkniętych nią nieuniknione zguba czeka — czego bowiem choroba dokonać nie zdoła — dokona 30-stopniowy mróz, panujący bez oporu pod cienkiem płótnem namiotu. W pięciu dniach rodziny całe do cna giną. Jedynym środkiem przeciw tej epidemji jest u Kałmuków mleko ciepłe, rozrzedzone wodą, jedyną prezerwatywą wódka i knut. Skoro Kałmuk jaki, najczęściej całkiem mimowoli, zetknął się z chorym, dają mu wódki aż do bydlęcego upojenia a następnie krewni i przyjaciele z knutem w ręku, sieką go z całą wściekłością. Nie wiemy, o ile skutkuje ten środek. Nikt nie chowa umarłych. Odciągają ich tylko na niejaką odległość od obozu i tam zostawiają na piasku; zdarza się więc często, że psy zgłodniałe rozszarpują zwłoki i niosąc jużto nogę, już rękę, lub inną część ciała, pożerają ją przed kibitką w oczach rodziny zmarłego. A przy tem wszystkiem nigdzie ani śladu doktorów lub szpitali! O szczepieniu ospy nikt tu nie słyszał. Nic więc dziwnego że plaga ta tylko w ciągu zimy roku przeszłego zmniejszyła ten naród o dziesiątą część jego ludności!"

Odpowiedzi Redakcji.

F. M. Poznaniu. Z przykrością musimy odpowiedzieć że Redakcja nasza nie potrzebuje teraz żadnych tłumaczeń, i prawdopodobnie nigdy ich potrzebować nie będzie.

I. we Lwowie. Odeszlemy pod wskazanym adresem, a na wierszyk reklamacyjny odpowiemy w następnym numerze, bo dziś miejsca nam zabrakło.

Zwracamy uwagę czytelników, że tylko te reklamacje, które zostaną nam przysłane, najpóźniej w 8 dni po wyjściu każdego numeru, będą na przyszłość uwzględniane.

Treść Nr. 12.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.